Cena egzemplarza

w W.Brytanii 6 d.
w Belgii 5 fr. b.
we Francji 10 fr. fr.
w Szwajcarii 0,40 fr.szw.
w Szwecji 60 öre
we Włoszech 30 lir

Warunki prenumeraty oraz adresy redakcji i administracji na str. 6.

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

Rok VII Wtorek 25 marca 1947 r. Nr 12 (246)

W NUMERZE

WIKTOR [illegible] — Czym był i jest Komunizm
ZBIGNIEW FŁOWCZAK — Obywatele świata
TOMASZ NOWINA — Niemcy „in statu nascendi".
HENRYK SWOLKIEŃ — Twórca nowej muzyki polskiej
T. NOWAKOWSKI — Listy z Londynu (VI))
ALICJA D. — Wystawa H. Gotliba
Inż. A. GAC — Energia i jej przejawy
AL. JANTA — Podsłuch (5)
W. P. — Włamanie do Kremla
ST. R. — Przegląd gospodarczy
A. W. — W Kraju o Monte Cassino
Z. N. — Najmłodszy polski uniwersytet

PAX AMERICANA

Dzień 12 marca 1947 roku jest datą historyczną. Na słowa, które zabrzmiały w przemówieniu prezydenta Trumana do połączonych Izb Kongresu Stanów Zjednoczonych, czekał świat od lat z niepokojem i nadzieją. Gdy je usłyszeliśmy, w duszy każdego z nas zrodziło się przeświadczenie, że w owym dniu coś się na świecie zmieniło.

Prezydent Truman zwrócił się do Kongresu z żądaniem przyznania 400 milionowego kredytu na pomoc dla dwóch tylko krajów: dla Grecji, aby „utrzymała się jako naród wolny"; dla Turcji, aby „zachowała swą integralność państwową". Lecz w uzasadnieniu tego żądania zawarta jest ocena niebezpieczeństwa światowego, wskazane są jego źródła i określona jest dzisiejsza rola Stanów Zjednoczonych Ameryki w polityce światowej:

„Jednym z naczelnych celów polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych — mówił prezydent Truman — jest powstanie warunków, w których my i inne narody będą mogły wypracować swą drogę życiową bez niczyjego przymusu. Takie było podstawowe założenie w wojnie z Niemcami i Japonią. Odnieśliśmy zwycięstwo nad krajami, które innym narodom chciały narzucić swą wolę i swój sposób życia.

„Aby zapewnić narodom rozwój pokojowy, wolny od przymusu, Stany Zjednoczone wzięły udział kierowniczy w ustanowieniu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Organizacja Narodów Zjednoczonych istnieje po to, aby wszystkim swoim członkom umożliwić trwałą wolność i niezależność. Ale nie urzeczywistnimy naszych celów, jeżeli nie zechcemy pomóc wolnym narodom do utrzymania ich wolnych instytucyj oraz ich całości terytorialnej przeciwko zmianom, jakie usiłują im narzucić ustroje totalitarne. Nie jest to nic więcej, jak tylko szczere przyznanie, że ustroje totalitarne narzucone wolnym narodom poprzez bezpośrednią lub pośrednią napaść, podminowują fundamenty pokoju międzynarodowego, a więc bez pieczeństwo Stanów Zjednoczonych.

„Narodom szeregu krajów na świecie narzucono ostatnio wbrew ich woli ustroje totalitarne. Rząd Stanów Zjednoczonych zakładał liczne protesty przeciwko przymusowi i zastraszaniu, przy gwałceniu umowy jałtańskiej, w Polsce, Rumunii i Bułgarii. Muszę również stwierdzić, że w szeregu innych krajów sprawy wyglądały podobnie...

„Wierzę, iż polityką Stanów Zjednoczonych musi być popieranie narodów wolnych, które opierają się usiłowaniom ich ujarzmienia przez zbrojne mniejszości, czy też przez nacisk z zewnątrz".

Prezydent Truman nie wywołał z imienia tych, którzy podnieśli rękę na wolność narodów. Ale nikt nie ma najmniejszych wątpliwości, kogo prezydent miał na myśli mówiąc o sprawcach zagrożenia. Spośród wielu innych, przytoczymy tylko głosy dwu naczelnych pism Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii. „New York Times" pisze: ... jest to niemniej niż ostrzeżenie w stronę Rosji, aby zaprzestała fizycznej napaści i dyplomatycznego wymuszania, które zawsze cechowały jej politykę od czasu wojny i aby stanęła na gruncie statutu Narodów Zjednoczonych". Londyński zaś „Times" dopowiada, iż prezydent Truman „nie usiłował ukrywać, że żąda poparcia dla Grecji i Turcji przeciwko wschodnio-europejskiemu blokowi państw opanowanych przez Związek Sowiecki". Głosy niektórych pism amerykańskich i brytyjskich idą bardzo daleko w przewidywaniu możliwych następstw tego oświadczenia.

Pod względem ważności, zasięgu i możliwego wpływu na rozwój wydarzeń, ostatnią mowę prezydenta Trumana — wygłoszoną po naradzie z przywódcami obu wielkich stronnictw — można przyrównać tylko do dwóch wystąpień prezydenckich w historii Stanów Zjednoczonych. Jednym z nich jest orędzie prezydenta Monroe z roku 1823, drugim pamiętne przemówienie prezydenta Roosevelta z zapowiedzią „kwarantanny" przeciwko sprawcom napaści. Mowa z 12 marca zamyka ostatecznie okres odosobnienia Ameryki, rozpoczęty ogłoszeniem doktryny Monroe'go.

Idzie ona po linii zasad, wysuniętych przez Roosevelta w pierwszym okresie wojny. Ale jest jednocześnie uznaniem, że stan rzeczy, na który w drugim okresie wojny Roosevelt wyraził swą zgodę — utrzymać się nie da. Była to zgoda na „dwa światy": amerykański i sowiecki — wolny i niewolny.

Tymczasem idea „świata jednego" z tęsknot ludzkich przerodziła się w świadome dążenie, a gwałtowny rozwój techniki, którego symbolem stała się bomba atomowa, przemienił się w nieodparta konieczność. Jeden z wybitnych polityków amerykańskich, b. przewodniczący Komisji spraw zagranicznych Izby Reprezentantów p. Sol Bloom, wyraził ją, już po przemówieniu prezydenta, w następujących słowach: „Nie możemy już dłużej uchylać się od stanięcia wobec faktu, że w przyszłości ludzie na świecie albo będą wolni wszyscy, albo wszyscy będą niewolnikami".

W ujęciu najbardziej aktualnych okoliczności towarzyszących mowie prezydenta wyraża ona postanowienie zatrzymania pochodu sowieckiego na granicy krajów, do których bezpośrednie wpływy Moskwy jeszcze nie dotarły. Na granicy obszarów, będących „pomostem między europejską i imperialną polityką". Ale w ocenie ogólnego położenia i wskazaniu celów polityki amerykańskiej, sens jej jest powszechny i światowy.

Zerwana została wreszcie pieczęć ofiarnego milczenia, chroniąca dotychczas nieprzebrane dowody ludzkiej krzywdy, ogrom nieprawości ucisku. Stany Zjednoczone ogłosiły światu, iż cele swej polityki utożsamiają ze sprawą wolności. W ślad za ustępującą z mórz flotą W. Brytanii, która już dziś sama tak wielkim zobowiązaniom podołać nie może, leci z warkotem motorów amerykańska powietrzna armada. Okres „Pax americana" już się rozpoczął.

Jerzy Prądzyński

Państwo związkowe czy jednolite

Jak wiadomo obrady na odbywającej się obecnie w Moskwie konferencji obejmują również zagadnienie, czy przyszłe Niemcy mają być państwem jednolitym, czy też związkiem państw. Używamy tu umyślnie wyrażenia „związek państw", a nie „państwo związkowe", bo jest między tymi pojęciami duża różnica. Państwo związkowe dopuszcza wprawdzie istnienie poszczególnych państw w swoich ramach, posiada jednak nadbudowę państwa ogólnego, która jest jak najbardziej istotna i której poszczególne państwa do niego należące są tylko podrzędnymi członkami. Państwo nadrzędne może w takim wypadku, zwłaszcza gdy opiera się o jedno z państw związkowych silniejsze od innych, najzupełniej opanować położenie i poszczególne państwa związkowe sprowadzić do rzędu mało znaczących cieni.

Tak właśnie stało się już za czasów wilhelmowskich. Stolicą całych Niemiec była stolica Prus. W Berlinie był ośrodek rozstrzygający i rozkazujący całym Niemcom. Rząd centralny takiego państwa związkowego jest właściwym i jedynym jego rządem. Rządy poszczególnych państw związkowych są tylko rozszerzonymi ośrodkami administracyjnymi, posiadającymi dla ozdoby niektóre drugorzędne w istocie prawa państw rzeczywistych. Chodzi więc nie o „państwo związkowe", ale o związek prawdziwych państw. Istniejące przedstawicielstwo całości nie może być w takim wypadku rzeczywistym rządem, ale po prostu miejscem, w którym uzgadniają się wspólne interesy pełnowartościowych państw należących do związku.

Tyle dla jasnego postawienia zagadnienia! Jest ono dzisiaj jednym z głównych ośrodków sporu między Rosją a państwami anglosaskimi. Pierwsza domaga się państwa jednolitego, drugie ustroju związkowego. Rosja twierdzi — żeby użyć tylko argumentów urzędowo wysuwanych — że rozwój Niemiec w kierunku jedności jest faktem historycznym, którego nie da się cofnąć. Ameryka, Anglia i Francja uważają, że należy właśnie przywrócić Niemcom ustrój związkowy dlatego, że jak uczy doświadczenie, wszelkie zjednoczenie Niemiec wznowi raz jeszcze groźbę dla pokoju świata.

Jak rzeczy się mają na prawdę? Otóż nie ulega wątpliwości, że zjednoczenie Niemiec dokonało się pod znakiem siły, narzucone zostało siłą i umożliwiło Niemcom użycie tej siły na zewnątrz. Historia zjednoczenia Niemiec sięga czasów napoleońskich. Czynnikiem jednoczącym Niemcy były Prusy, państwo wyrosłe na podbojach ziem słowiańskich, i w najgłębszej swojej istocie militarne. Objawił się w nim w pełni drapieżny i napastniczy duch narodu niemieckiego. Nie możemy w niniejszym artykule dawać choć w przybliżeniu historycznego zarysu zjednoczenia Niemiec, dokonanego siłą przez Prusy. Dla poparcia naszego twierdzenia ograniczymy się do przytoczenia zdania historyka francuskiego Pierre Benaerts, który w książce „L'Unité Allemande", obejmującej dzieje tego zjednoczenia od roku 1806 — 1938, pisze:

„Prusy wyobrażały zasadę prężności i centralizacji, pierwiastek poruszający. Na przeszkodzie stały im rozproszkowanie terytorialne i dzielnicowość dynastyczna państw niemieckich, a z drugiej strony siła moralna i absolutyzm domu austriackiego." ... „Urzeczywistnienie jedności jest to wytrwały wysiłek Niemiec pruskich, zmierzający do obalenia podwójnej przeszkody dzielnicowości państw średnich i oporu austriackiego".

Na innym miejscu czytamy: „Jedność niemiecka jest dokładnym przeciwieństwem dobrowolnego połączenia, czynności jednomyślnej. Jest ona wynikiem polityki interesów materialnych i nacisku, przymusu wykonywanego w imię zasady znajdującej się ponad prawem".

A wreszcie: „Na wszystkich stopniach jego (czytaj zjednoczenia) kształtowania się łączy się ono z wkraczaniem zbrojnym. Prusy mogły wymusić zjednoczenie niemieckie tylko opierając się na armii".

Stało się to w przeciwieństwie, jak powiada autor, do harmonijnego zrastania się jedności innych narodów.

Rozumiał niebezpieczeństwo jedności niemieckiej pod przewodnictwem Prus polityk taki jak Metternich, który starał się jej przeciwdziałać już na Kongresie Wiedeńskim. Jak wiadomo jednak, z tego punktu widzenia Kongres Wiedeński zostawił Prusom drzwi otwarte, z czego też przez cały wiek XIX skwapliwie skorzystały.

Wykazuje więc jedność niemiecka zupełnie osobne i rodzime znamiona. Zrodziła się ona z podbojów i gwałtu i urzeczywistniona została przez państwo, które wyrosło z krwawej kolonizacji i wiecznej wojny. Rzecz prosta, że odbudowanie jednolitych Niemiec musi w tych warunkach wskrzesić ten właśnie charakter jedności niemieckiej i tym samym w całej pełni wznowić niebezpieczeństwo niemieckie. Z drugiej strony zniszczenie pierwiastka siły niemieckiej zważywszy, że historycznie łączy się on z przebiegiem zjednoczenia, otwiera właśnie drogę dla innego ustroju, niż jednolite państwo niemieckie.

Uchwała sojuszniczej Komisji Kontrolnej z dnia 1 marca 1947, wymazująca państwo pruskie z karty Europy jest zewnętrznym symbolem zniszczenia siły niemieckiej. Otwiera ona rzeczowo i formalnie drogę do powstania mniej niebezpiecznego ustroju Niemiec, do ustroju związku poszczególnych państw niemieckich. Temu związkowi po zniszczeniu Prus nie będzie już zagrażał w każdym razie przez dłuższy czas pierwiastek siły w państwie pruskim uosobionej.

Logika rzeczy więc wskazuje na to, że dla świat ma wreszcie pozbyć się stałego zagrożenia niemieckiego, należy położyć nacisk na przywrócenie Niemcom ustroju związku państw. Zważywszy zaś, że Prusy wyrosły na podboju i kolonizacji ziem słowiańskich na wschodzie i że od wschodu właśnie wychodziła polityka jednocząca Niemcy pod znakiem siły w celu jej dalszego i niczym nie ograniczonego użycia dla podbicia świata, należy im te właśnie ziemie wschodnie odebrać. Uchwała znosząca istnienie państwa pruskiego pozostałaby w rzeczywistości na papierze, gdyby właściwe siedlisko Prus, znajdujące się na wschodzie, nie zostało Niemcom odebrane. W takim wypadku Prusy istniałyby nadal, chociażby nawet ochrzczono je innym mianem, jako ośrodek, z którego mógłby się rozpocząć ponowny rozwój siły niemieckiej i jednoczenie Niemiec pod hasłem tej siły. Dlatego to właśnie możliwość ustroju związkowego Niemiec łączy się najściślej nie tylko z papierowym, ale z prawdziwym zniszczeniem Prus. To zaś zniszczenie z kolei wyrazić się może w praktyce tylko w oddaniu z powrotem Polsce tych ziem, na których Prusy wyrosły jako ucieleśnienie niemieckiego ducha zaborczego. Wtedy dopiero pierwiastek siły jednoczący Niemcy straci podstawę działania.

Innymi słowy zarówno z dążenia do skrępowania niemieckiego ducha zaborczego jak też z powziętej już uchwały Sojuszniczej Komisji Kontrolnej, znoszącej państwo pruskie, wynika z nieodpartą logiką konieczność przyznania Polsce granic na Odrze i Nysie. W przeciwnym razie żaden z tych celów nie zostanie osiągnięty, a uchwała komisji pozostanie na papierze.

Ustrojowi Niemiec pojętemu jako związek państw przeciwstawia się polityka rosyjska zmierzająca do przywrócenia względnie utrzymania jedności Niemiec. Jak wynika z poprzednich naszych wywodów, dążenie to nie jest logiczne, o ile na prawdę zamierza się usunąć źródło zagrożenia Europy przez Niemcy. Tylko bowiem rozczłonkowanie Niemiec na poszczególne państwa, innymi słowy odrobienie wyników pruskiej polityki siły, zabezpieczyć może Europę przed Niemcami. Nie znaczy to, że dążność do zjednoczenia nawet po rzeczywistym zniszczeniu Prus zniknie w Niemczech całkowicie i na zawsze. Ale jest rzeczą jasną, że w ten sposób utrudni się je i osłabi w wysokim stopniu. Kto bowiem będzie je wprowadzał w życie? Zanim się taki czynnik jak Prusy ponownie wykrystalizuje — o ile Europa do takiej krystalizacji w ogóle dopuści — upłynąłby duży okres czasu. W tym zaś czasie umocnienie się nowego stanu rzeczy stałoby się faktem i trzeba by znowu powtórzenia straszliwych błędów przeszłości, ażeby fakt ten podważyć.

Toteż stanowisko Rosji w sprawie jedności Niemiec, nie mówiąc już o tym, że stawia pod znakiem zapytania granice Polski na Odrze i Nysie, które to żądanie Polski Rosja dotychczas oficjalnie popiera, ma niewątpliwie na oku inne cele, które zupełnie nie godzą się z ostatecznym ustaleniem pokoju w Europie. Wynikają one najwidoczniej z bardzo daleko sięgających jej zamiarów, bardzo zresztą przejrzystych i związanych z planami wywrócenia w ogóle dotychczasowego porządku świata.

Domagając się utworzenia z powrotem jednolitego państwa niemieckiego, Rosja nie tylko zatwierdza dzieło Prus, ostatecznie ukoronowane przez Hitlera, ale podtrzymuje Niemcy w ten sposób jako pierwiastek siły narażając się nawet na to, że ta siła mogłaby się znowu kiedyś, jak już to nieraz bywało, zwrócić przeciwko niej.

Dlatego przeciwieństwo między Rosją z jednej, a państwami zachodnimi z drugiej strony na tle ustroju Niemiec posiada bardzo głębokie znaczenie. Zdają sobie z niego niewątpliwie sprawę państwa zachodnie. Tymbardziej jednak dziwi, że nie rozumieją one jak dotychczas, w tym związku znaczenia zasadniczego punktu całej sprawy, a mianowicie sprawy polskich granic na Odrze i Nysie. Jest to sprawa nie tylko polska, ale na dalszą metę sprawa pokoju światowego.

W tym wszystkim stanowisko, zajęte przez rząd warszawski, a uwidocznione m. in. tak jaskrawo w końcu stycznia b.r. w przemówieniu jego przedstawiciela p. Wierbłowskiego na Konferencji zastępców ministrów spraw zagranicznych w Londynie (patrz Orzeł Biały z dn. 11 lutego b.r.), jest najzupełniej nielogiczne i dla interesów polskich szkodliwe. Wywołało one zdumienie wszystkich uczestników konferencji i niezwykle ostrą krytykę przedstawiciela Francji. P. Wierbłowski wystąpił bowiem przeciwko ustrojowi związkowemu Niemiec, domagając się stworzenia jednolitego państwa niemieckiego. Jak to pogodzić z żądaniem granic na Odrze i Nysie, tego oczywiście nikt zrozumieć nie potrafi. Zależność Polski od polityki rosyjskiej bez względu nawet na jej najbardziej żywotne interesy, uwydatniła się tu raz jeszcze w całym blasku. Nikogo to już jednak niestety nie dziwi.

A. TOMICKI

Gen. Władysław Anders
(Fot. K. Hrynkiewicz)

Mamy nowe zadania, lecz nasze idee pozostają niezmienione

PRZEMÓWIENIE GEN. W. ANDERSA DO ŻOŁNIERZY

Generał Anders, który objeżdżał polskie oddziały wojskowe, wygłosił w grupie dyw. 2 Korpusu dłuższe przemówienie, stanowiące jakby odpowiedź na te wszystkie pytania i wątpliwości, z którymi zwracają się do niego liczni żołnierze 2 Korpusu.

Omawiając na wstępie sytuację polityczną gen. Anders zajął się ostatnimi „wyborami" w Polsce, które na zachodzie uznano publicznie za fałszerstwo. „Rząd wyłoniony z tych wyborów nie może być w żadnym wypadku uznany za reprezentację Narodu Polskiego" — oświadczył Generał.

Stosowanie „amnestii" do żołnierzy tylu wspaniałych i zwycięskich bitew na froncie zachodnim, gen. Anders określił jako metodę, którą „każde serce polskie przyjęło z największym oburzeniem". To samo odnosi się do sprawy obywatelstwa. „Mnie i wielu moim kolegom — mówił gen. Anders — p. Bierut odebrał obywatelstwo, ale nie mogę w żadnym wypadku uznać tego za akt prawny, bo pan Bierut i wielu jego kolegów byli obywatelami sowieckimi wtedy, gdy my toczyliśmy krwawą walkę o Polskę".

Następnie Generał przeszedł do bieżących zagadnień żołnierzy, omawiając szczególnie sprawę PKPR.

„Musicie zrozumieć, że PKPR jest rozwiązaniem brytyjskim a nie polskim. Wszystkie nasze władze naczelne przyjęły jednak to rozwiązanie nie jako najlepsze, ale jako jedyne możliwe w obecnych warunkach. PKPR daje nam możliwość przetrwania w jakich takich warunkach, znalezienia pracy i ew. przygotowania do zawodu cywilnego.

„Wielu z Was jest bardzo niecierpliwych. Trzeba jednak pamiętać, że W. Brytania jest tym krajem, który wyciągnął do nas rękę i dał i daje możność opieki nad setkami tysięcy ludzi. Rozumiecie chyba dobrze trudności, jakie obecnie przeżywa Imperium Brytyjskie. Nie wchodząc w źródła tych trudności stwierdzić musimy, że opory tych, którzy są nieżyczliwi nam i znajdują się pod oddziaływaniem wrogiej nam propagandy, maleją i jestem głęboko przekonany, że już za parę miesięcy problem ulokowania wielkich mas w pracy cywilnej będzie zrealizowany.

„Musimy przetrwać. Na pewno każdy z nas chce wrócić do Polski, ucałować polską ziemię, ale ziemię wolną, która by nie była deptana butem obcego żołnierza i gdzie ludzie, każdy mężczyzna, kobieta czy dziecko, mogliby żyć bez strachu. A ponieważ dziś jeszcze tego uczynić nie możemy — powinniśmy się wziąć do pracy.

„Na pewno każdy z Was zapytuje siebie innych, czy ta praca, do której teraz wchodzimy, może być i jest pożyteczna dla Polski, czy nie zmarnują się w rozproszeniu siły polskie na obczyźnie ze stratą dla Polski. Mogę Was zapewnić, że nie, jeśli tylko nie damy się rozproszkować, duchowo i organizacyjnie, jeśli każdą pracę wykonywać będziemy uczciwie i jeśli nigdy z oczu nie stracimy naszego zasadniczego celu, dla którego zostaliśmy na obczyźnie. A to wszystko od nas samych tylko zależy...

„Traktujemy PKPR jako instytucję przejściową. Im prędzej każdy z obozu przejdzie do pracy cywilnej — tym lepiej. Ci, którzy to zrobią wcześniej, będą mieli większe szanse życiowe, niż ci, którzy będą bezwładnie tkwić w obozach. Nie wierzcie tym, którzy twierdzą, że dowódcy wasi chcą Was zatrzymać w obozach, aby mieć kim „dowodzić". Nawet na moim szczeblu robię wszystko co możliwe, abyście jak najszybciej otrzymali pracę. Do tego czasu będziemy dążyć do przyśpieszenia waszego przejścia do życia cywilnego. Jedna uwaga, aczkolwiek rozumiem, że to trudno, to jednak musicie położyć cały swój wysiłek, aby nauczyć się języka angielskiego. Nieznajomość jego utrudnia i utrudniać będzie otrzymanie należytej pracy.

MAMY PRZYJACIÓŁ

„Pamiętajcie, że mamy tutaj bardzo wielu gorących przyjaciół, ale jednocześnie jest tu wielu ludzi, którzy nas dopiero teraz poznają. Od waszego zachowania się, uczciwości i rzetelności zależeć będzie lepsza wasza przyszłość, a jednocześnie w ten sposób gruntować będziecie dobre imię Polski. Pamiętajcie, że opinia szarego człowieka w W. Brytanii, robotnika, rolnika czy kupca, którą właśnie Wy będzie urabiać, może się kiedyś okazać siłą niesłychanie ważną.

„Wielu z Was zgłosiło się na powrót do Polski. Wielu pyta mnie o radę i zdanie. Wypowiadałem się na ten temat niejednokrotnie i nie ma chyba ani jednego z Was, który by mnie osobiście na ten temat mówiącego nie słyszał. Ja stanowiska swego nie zmieniłem. Pamiętacie zapewne, jak jeszcze dawno w Italii powiedziałem Wam niech ci, co chcą, odejdą. Nie zatrzymywałem siłą i nie utrudniałem nikomu odejścia. A kiedy mnie się dzisiaj pytacie odpowiadam mocno i szczerze: ja nie radzę. Rozumiem waszą tęsknotę do rodziny, rozumiem niezmiernie ciężką sytuację żon i dzieci, które tam zostały. Wiem, że przychodzi wielka ilość listów wzywających do powrotu, lecz również wiem, że równa ilość przychodzi odmawiających od przyjazdu. Powiedziałem Wam i dziś twierdzę: nie wiem jeszcze kiedy i jak, ale do Polski wrócę, ale do takiej Polski, za którą zginęła tak olbrzymia ilość naszych kolegów.

„Nie mogę jednak absolutnie zrozumieć tych naszych kolegów, którzy nie chcą wracać do Polski, jednak wyłamują się z naszej gromady i odmawiają zapisu do PKPR. Przecież ten Korpus na to jest pomyślany, żeby Wam pomóc i dać wszelkie ułatwienia. Nikt nie będzie zatrzymywany w obozie, kto po zapisie otrzyma pracę lub wizę na wyjazd do obcego kraju. Mogę to zrozumieć wyłącznie jako wrogą propagandę, która szkaluje i rzuca oszczerstwa na cały nasz tak wspaniały i wszechstronny dorobek przeszłości, a jeśli chodzi o przyszłość — to stara się nas rozproszkować i rozbić naszą gromadę. Dlatego też apeluję do tych wszystkich żołnierzy, wśród których jest wielu starych towarzyszy broni, aby nie dawali wiary prowokatorom i ich najróżniejszym insynuacjom i oszczerstwom i zapisali się do PKPR.

JEDNOŚĆ

„Wiecie, że powstało Stowarzyszenie Polskich Kombatantów. A jak ich tu w Anglii nazywają — weteranów. Jesteśmy wszyscy weteranami walki o niepodległość Polski. I dlatego musimy się znaleźć w ramach tego stowarzyszenia. Będzie ono na przyszłość wiązać nas razem, pomagać w złej i dobrej doli. A w obecnych warunkach będzie nas uczyć współżycia w ramach społecznej współpracy i wzajemnej pomocy.

„Wroga nam propaganda mówi bez ustanku o rozbiciu Polaków na obczyźnie. Mogę Was zapewnić, że to jest nieprawda. Panuje wśród nas — na górze i na dole — całkowita harmonia i najgłębsza wiara w lepszą przyszłość Polski. Wierzymy, że w końcu sprawiedliwość zwycięży. Wierzy w to tak samo nasz umęczony Naród Polski, jak i my, bez różnicy partyj i przekonań, wolni Polacy na obczyźnie.

„Tym, którzy mnie zapytują o warunki emigracji, odpowiadam. Zorganizowana emigracja poszła na razie tylko do Kanady (2.900 ludzi). Przypuszczalnie jeszcze pewna ilość otrzyma na to zgodę. Z wielu listów, które stamtąd otrzymuję, widzę, że zarówno rząd kanadyjski jak i naród otaczają naszych kolegów należytą opieką. Robimy starania, żeby jak największą ilość ludzi, znajdujących się w niesłychanie trudnych warunkach w Niemczech, ulokować w krajach europejskich.

RODZINY

„Natomiast o masowej emigracji do krajów Południowej Ameryki — jeszcze nie ma mowy. Przestrzegam w każdym bądź razie przed dziką emigracją, gdyż z listów, które ja otrzymuje od kolegów, którzy tam pojechali na własną rękę, wynika, że powodzi im się źle i proszą o ściągnięcie ich z powrotem do W. Brytanii. Dlatego też widzę, że masa winna zostać tutaj, na wyspach. Dlatego, też jeszcze raz apeluję do was, abyście się uczyli języka angielskiego i jak najprędzej sami zaczęli pracować na siebie.

„Zapytujecie mnie także, jakie jest nasze stanowisko w sprawie granic Polski. Żadne prawdziwe serce polskie nie uznało i nie uznaje rozbioru Polski. Uważamy, że granica na Odrze i Nysie słusznie należy się Narodowi Polskiemu.

„Wiecie już, że starania nasze, dotyczące sprowadzenia naszych rodzin ze Środkowego Wschodu, Afryki oraz Indii osiągnęły częściowy skutek. Rodziny nasze już niebawem zaczną przybywać, aby się z nami połączyć".

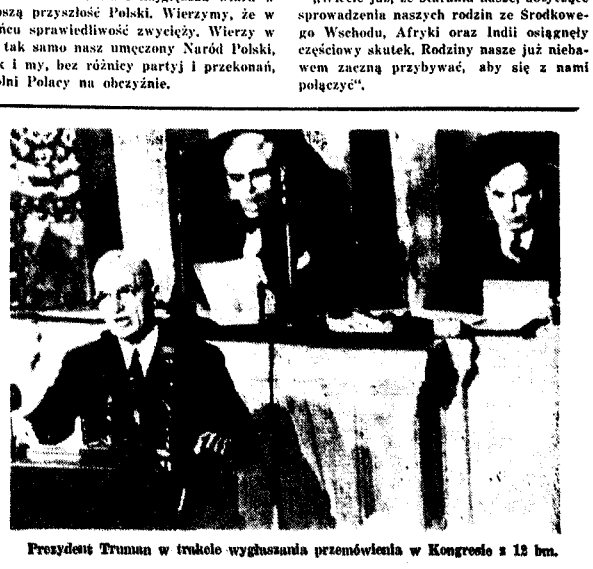

Prezydent Truman w trakcie wygłaszania przemówienia w Kongresie z 12 bm.

Czym był i jest Kominternem?

Powiązania personalne i organizacyjne z aparatem państwowym ZSRR i IV Oddziałem Sztabu Czerwonej Armii. Historyczny proces przemiany w instrument V kolumny. Miejsce Kominternu w planach wojennych ZSRR.

Po trzech przeszło latach „nieistnienia" Trzeciej Międzynarodówki można już sobie wyrobić pogląd na to, w jakiej formie instytucja ta istnieje.

Jak wyglądała struktura Kominternu do chwili jego rozwiązania?

Kominiern był związkiem 128 partyj komunistycznych, które z tym związku nosiły nazwę sekcyj. Sekcje były zgrupowane w 8 jakby armij, których sztaby nazywały się „sekretariatami krajów" (w terminologii Kominternu — „Ländersekretariat"). Były one następujące. 1) europejski (zachodnia Europa), 2) skandynawski, 3) polsko-bałtycki, 4) bałkański, 5) Ameryki anglosaskiej, 6) Ameryki łacińskiej, 7) Wschodu z podsekretariatami: a) Dalekiego Wsch., b) Środkowego Wsch., c) Bliskiego Wschodu, 8) kolonialny.

Bardzo ciekawe, że tyleż i takie wydziały czyli departamenty posiada obecnie ministerstwo spraw zagranicznych ZSRR oraz Wydział Zagraniczny Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii Bolszewików. W tych departamentach mieściło się prawdziwe kierownictwo sekretariatów krajów Kominternu. To zaś kierownictwo, które ukazywało się publiczności jako kierownictwo kominternowskie, było kierownictwem wykonawczym.

Poszczególne sekcje mogły zwracać się do naczelnej — pozornie — władzy wykonawczej Kominternu — Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej (IKKI — Ispolnitielnyj Komitiet Kommunisticzeskawo Internacjonała) — jedynie drogą służbową, to jest za pośrednictwem sekretariatów krajów.

IKKI miał 8 wydziałów: propagandy i agitacji; administracji, który inkasował pieniądze z Gosbanku, polityczny, organizacyjny, wojskowy, zagraniczny, przybudówek oraz specjalny (szpiegostwo) — obsadzony całkowicie przez oficerów IV Oddziału Sztabu Czerwonej Armii. Jego szefem był do swej śmierci Szczerbakow, jednocześnie szef IV Oddziału (drugie oddziały w innych armiach) i sekretarz wydziału politycznego Komitetu Centralnego WKPb.

Naczelną władzą prawodawczą — teoretycznie — były Kongresy Kominternu, ustalające linię polityczną, skład IKKI i składy sekretariatów krajów. W praktyce zaś, w ostatnich latach istnienia Kominternu, linię polityczną wyznaczało Biuro Polityczne WKPb. Skład IKKI również najpierw był zatwerdzany w Politbiurze WKPb, a potem „przez aklamację" przyjęty na Kongresie.

IKKI urzędował stale w Moskwie. Kongresy zbierały się również w Moskwie. W Moskwie urzędowały też Komitety Centralne tych partyj, które w swych krajach były nielegalne, jak np. — polskiej. Sekretariaty krajów urzędowały też zasadniczo w Moskwie, a tylko ich filie poza granicami ZSRR.

Ponadto istniały poza granicami ZSRR trzy biura — jakby filie IKKI: w Charbinie, Paryżu i Berlinie (to ostatnie do roku 1933, przeniesione potem do Pragi).

Co zmieniło się dzisiaj w tej budowie?

Nie odbywają się kongresy, które zresztą i tak nie były zwoływane od roku 1935, jako niepotrzebne i kosztowne kule u nogi rzeczywistych zarządców Kominternu. Nie urzęduje również IKKI.

Istnieją natomiast sekretariaty krajów, istnieją Biura, (Biuro Paryskie np. zarządza ruchami dywersji na Środkowym Wschodzie i rozdziela na te tereny gotówkę za pośrednictwem agenta w Tel-Avivie, nazwiskiem Wilner). Istnieją poza tym sekcje czyli poszczególne partie, a ich zależność od Kremla stała się jeszcze silniejsza, dzięki nieistnieniu Kongresów i IKKI — bo bezpośrednia.

Istnieją również — i to jest najważniejsze — te same istotne ośrodki dyspozycji, jakie istniały w owych czasach, kiedy jeszcze Kominiern istniał nie tylko faktycznie, jak dziś, lecz i formalnie, jako instytucja Kongresów i IKKI. To znaczy istnieje Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia Bolszewików jako klasa rządząca ludnością ZSRR i zastępami piątych kolumn poza granicami ZSRR. Wydział Zagraniczny tej partii oraz Wydział Specjalny Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwa z polecenia partii sprawuje kontrolę nad działalnością sekcyj.

Co się zmieniło się istocie zagadnienia?

Zmieniło się to, że skutkiem likwidacji IKKI i Kongresów — dyspozycja przeszła bezpośrednio do partii rosyjskiej. Zmieniło się to, że nastąpiła większa centralizacja w pracy oddziałów piątej kolumny.

Błędne wydaje mi się twierdzenie p. Bączkowskiego w doskonałej skądinąd książce „Rosja Wczoraj i Dziś", że „likwidacja Kominternu oznacza decentralizację w jego strukturze". Bynajmniej. Jeżeli był urzędnicy byłego IKKI rozjechali się w świat — jak Ercoli (Togliatti), Dymitrow, Kunsinen, Pieck, Bierut — to nie znaczy, że instytucja się zdecentralizowała. To znaczy tylko, że wypróbowani w wierności oficerowie zostali przesunięci ze sztabu na placówki wysunięte, ale sam sztab główny tj. Biuro Polit. WKPb ze Stalinem na czele działa jak dawniej.

Tu doszliśmy do istoty zagadnienia, istoty sporu i istoty wielu nieporozumień:

Przez cały czas istnienia IKKI bolszewicy twierdzili, że Kominiern jest niezależny od rządu radzieckiego, a partia bolszewicka jest tylko jedną z sekcyj Kominternu, równą innym sekcjom. Może trochę „więcej równa", ale równa. Warto więc faktami i personaliami stwierdzić tę „niezależność".

„Niezależność" organizacyjna została już uchwalona na I Kongresie Kominternu w roku 1919 — w statucie, uchwalonym na tym Kongresie i ustalającym skład egzekutywy — IKKI — w ten sposób, że członkowie partii bolszewickiej mieli w niej ustawowo zagwarantowaną jedną trzecią miejsc, przy czym uchwały miały zapadać większością dwu trzecich — (święta liczba p. Mołotowa). — Rosjanie wiedzieli, że nigdy przedstawiciele partii zagranicznych, jakkolwiek posiadają dwie trzecie — nie zblokują się tak, aby rozporządzali większością kwalifikowaną. A na wszelki jeszcze wypadek statut ustalał, aby w razie równości rozstrzygał przewodniczący, którym zawsze — również statutowo — miał być tylko członek partii rosyjskiej. Faktycznie więc przewodniczący miał dwa głosy.

Dziś ta przebiegła chytrość Lenina w walce o przewagę nad Kominternem wydaje się nieco naiwna. Poco, skoro i tak?... — chciałoby się zapytać, ale pamiętajmy, że był to rok 1919, kiedy jeszcze ówczesna „Cze-Ka" nie była dzisiejszym Ministerstwem Bezpieczeństwa Państwa i kiedy „przesądy demokratyczne" były żywe nawet wśród bolszewików. Głos wówczas znaczył nie tyle wprawdzie, ile dziś i pieniądz, ale w każdym razie więcej niż dziś.

Ponieważ statut zabraniał poszczególnym sekcjom blokowania się i wogóle utrzymywania stosunków z innymi sekcjami inaczej, jak tylko za pośrednictwem egzekutywy przez odpowiednią politykę personalną — to jasne, że pro „ustroji" się w egzekutywie, miał głos w poszczególnych sekcjach.

Powiązania personalne rosyjskiej części egzekutywy Kominternu z cywilnym i wojskowym aparatem sowieckim?

Wystarczy chyba wymienić nazwiska: Lenin, Trocki — organizator czerwonej armii i pierwszy szef IV Oddziału Sztabu, Stalin, Rykow — organizator sowieckiej gospodarki, Zinowiew — specjalista od polityki zagranicznej ZSRR, Dzierżyński, Mołotow, Manuilski — obecny wiceminister spraw zagranicznych. (Manuilski był kierownikiem biura IKKI w Berlinie przed rokiem 1928).

Rosjanie nie poprzestali jednak na obsadzeniu egzekutywy Kominternu. Cała czujność partii bolszewickiej zwrócona była w stronę formujących się młodych partii bolszewickich. Trzeba było pilnować, aby z tych

Wiktor ZADORA

źrebiąt trojańskich wyrosły tęgie trojańskie konie. Od początku należało tępić w nich odruchy samodzielności, należało tępić i pozbywać się ludzi z charakterem, a hołubić tych, którzy lubią jadać z ręki. Procesowi łamania charakterów nadano pozory walki ideologicznej, walki z „odchyleniami" od czystej doktryny marksizmu. W rzeczywistości była to tylko tresura w posłuszeństwie dla kierownictwa — najpierw leninowskiego, potym stalinowskiego.

Cała histor. personalna Kominternu wskazuje, że przy władzy i życiu utrzymały się tylko jednostki, oddane zupełnie Stalinowi i jego polityce bolszewickiego imperializmu. Nie wybitni marksiści i wielcy politycy, nie jednostki oddane interesom mas pracujących całego świata, lecz ludzie, nie krępujący się dobrem i interesami swych krajów i ludów: Thorez — dezerter z wojska francuskiego w okresie największego nieszczęścia narodowego, Kuusinen — zrusyfikowany Fin idący z armią rosyjskiego najazdu przeciw własnej ojczyźnie, Togliatti — Biernt, Amsterdam-Henrykowski — itd. itd.

Zostali wymordowani tacy jak Żarski, który konsekwentnie walczył swego czasu przeciw stanowisku rosyjskiemu w sprawie Śląska i Pomorza. Przemówienie Manuilskiego na III Zjeździe Komunistycznej Partii Polski w roku 1924, żądające „samookreślenia aż do oderwania od Polski" Śląska i Pomorza — Żarski poważył się nazwać nonsensem.

Wrogiem Kominternu Nr. 1. ogłoszono swego czasu również komunistę niemieckiego Brandlera, który w roku 1923, gdy całe nadzieje głodnej Rosji były związane z wybuchem rewolucji niemieckiej, przeciwstawił się tej rewolucji i powiedział, że „droższa mu jest krew robotnika niemieckiego, niż ambicje partii bolszewickiej".

Aby uchronić się przed podobnymi niespodziankami, jak Żarski i Brandler, bolszewicy rosyjscy od roku 1924 zaczęli stosować politykę obsadzania komitetów centralnych poszczególnych sekcyj własnymi ludźmi. Akcji tej nadali oficjalną nazwę „bolszewizacji sekcyj Trzeciej Międzynarodówki". Powszechnym zjawiskiem od tego czasu stało się wprowadzanie ludzi z państwowego aparatu sowieckiego i czerwonej armii do kierownictwa poszczególnych partyj.

Najsilniej związana z aparatem sowieckim była i jest — partia Chin. Większość w jej komitecie centralnym stanowią oficerowie sztabowi czerwonej armii. Sztab sowieckiej armii dalekowschodniej jest z nimi w nieprzerwanym kontakcie. Blücher dlatego został stracony, że nie umiał odpowiednio pokierować wojną domową w Chinach.

Faktycznym kierownikiem partii łotewskiej był Łacis, pomocnik Dzierżyńskiego w pierwszej „Cze-Ka", a następnie szef ukraińskiego NKWD (jego to zasługą jest fakt, że te same obszary Ukrainy sowieckiej, które przed rokiem 1914 liczyły 30 milionów ludności — w roku 1939 miały — 22 miliony). Obecnie Łacis jest szefem „rządu" łotewskiego.

Z kolei podam teraz kilka wypadków z historii polskiej partii komunistycznej, wskazujących wyraźnie na zależność partii od czynnika dyspozycyjnego nie-polskiego:

Piąty Kongres Kominternu w roku 1924 wyznaczył komisję dla zlikwidowania kryzysu w KPP, spowodowanego tym, że Komitet Centralny KPP wypowiedział się w obronie Trockiego. Wszyscy członkowie tego Komitetu Centralnego zostali w kilka lat potem wymordowani, ale w roku 1924 metoda morderstwa za „trockizm" jeszcze nie obowiązywała.

Przewodniczącym tej komisji został Stalin — był to jego pierwszy występ publiczny na arenie Kominternu — wiceprzewodniczącym — Mołotow, członkowie: Dzierżyński i Unszlicht — obaj z GPU, Podwojski — oficer IV Oddziału, Manuilski oraz kilku przedstawicieli innych partyj komunistycznych. Decyzją tej komisji KC KPP został „zdjęty" za „niewłaściwy stosunek do sprawy rosyjskiej".

Stalin wygłosił wówczas bardzo znamienny komentarz do tej decyzji: — „Sprawa rosyjska ma decydujące znaczenie dla całego ruchu rewolucyjnego na Wschodzie i Zachodzie — mówił Stalin. — Dlaczego? Bo władza radziecka w Rosji (to znaczy władza Stalina) to ostoja, to ucieczka, to fundament ruchu rewolucyjnego świata. Zachwianie tej władzy oznacza zachwianie się ruchu rewolucyjnego na całym świecie"... („Sprawa Polska" strona 53 i 54. — wyd. KPK).

W roku 1925 podczas konferencji KPP w Moskwie, Politbiuro partii bolszewickiej, zniecierpliwione przewlekłymi dyskusjami, usunęło kierownictwo partii polskiej i mianowało nowe, w skład którego wchodził niejaki Bogucki, urzędnik Narkomindielu. —

W roku 1927 dla pilnowania czystości linii generalnej w KPP zostali wyznaczeni Manuilski i Kunsinen.

Latem 1928 do KC KPP zostali przeniesieni trzej członkowie politbiura partii rosyjskiej: Knorin (pseudo Sokolik), Popow (ps. Łowicki) i Poddubny — z prawami dyktatorskimi.

W skład KC mianowanego na V Zjeździe KPP wchodzili trzej urzędnicy sowieccy i to z nie byle jakich urzędów: Bronkowski-Bortnowski oraz Żbikowski z IV Oddziału Sztabu Cz. Armii i Słowiński, wybitny czekista.

O tym, jakie są zainteresowania IV Oddziału i jakie zadania mają sekcje Kominternu — daje pewne pojęcie artykuł wspomnianego Żbikowskiego, drukowany w pismie „Żołnierz Rewolucji", w Nr. 2, z roku 1932, pod tytułem „Zagadnienie Obrony Związku Radzieckiego" (podpis „8" — Stefan.):

„A więc tam, gdzie sytuacja będzie odpowiadała, należy organizować partyzantkę na tyłach wojsk polskich. W przemyśle i transporcie — strajki. Ogólny cel tych akcji — aktywne poparcie Armii Czerwonej, strajk powszechny i przekształcenie wojny imperialistycznej w domową...

...Tezy wojenne VI Kongresu Kominternu mówią: 1) proletariat winien nie tylko walczyć o porażkę własnego rządu, ale o zwycięstwo państwa radzieckiego; 2) jego taktyka w wyborze rozmaitych środków walki winna być określana nie tylko interesami walki klasowej we własnym kraju, ale również interesami Armii Czerwonej na froncie... (stąd)... nawet nieuchronny strajk, zakończony rozbiciem i stratami (w ludziach), jeśli będzie miał miejsce podczas przewozu amunicji lub wojska, będzie miał ogromne znaczenie..."

Artykuł ten narobił niemało wrzawy w Kominternie i nakład pisma częściowo został wycofany, ale nie ze względów na jego niesłuszną linię polityczną, lecz ze względu na konspirację. (Żbikowski dalej pozostawał na swych obu stanowiskach — generała IV Oddziału i członka KC KPP.).

W roku 1932 — VI Zjazdowi KPP — pod Mińskiem — przewodniczył gen. Aronsztam, polityk sztabu armii frontu zachodniego.

W formowaniu Związku Patriotów Polskich w Moskwie i rządu lubelskiego działał, jako osoba kulis Amsterdam-Henrykowski, członek wydziału Politycznego KC WKPb, jeden z niewielu byłych członków KC KPP, człowiek który z zimną krwią sprzedawał wszystkich byłych towarzyszy władzom NKWD. Odgrywa on dzisiaj zasadniczą rolę w Polsce.

Ostatnio nie jest tajemnicą, że partią komunistów polskich — PPR — kieruje bezpośrednio Lebiediew.

Tyle na razie, o ile chodzi o politykę i o fakty w zakresie personalnej i organizacyjnej „niezależności" Kominternu i jego sekcyj od rządu sowieckiego, ściślej — od kierującej tym rządem monopartii bolszewickiej.

W następnym artykule omówimy zasadnicze fazy w strategii i taktyce Kominternu od chwili jego powstania do dnia dzisiejszego.

W OKRESIE NIEPOKOJÓW W PALESTYNIE

Kontrola pojazdu przez brytyjski posterunek pod osłoną broni maszynowej

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

Obywatele świata

Wojna przeszła i dopiero teraz widzi się mapę polskiej wędrówki. Kawał drogi ogromny, wydeptany z tupetem szeroką stopą ludzi przekonanych o swojej słuszności. Ci, co na tę polską zawieruchę patrzyli, mieli widowisko niecodzienne i może zapisali je w pamięci pod churchilowskim mottem: — „Nie masz takich zalet, których by nie przypisano Polakom, ale i nie masz takich błędów, których by oni nie popełnili". — Charakter ostry, wyobraźnia obrócona we własne, nieznane innym strony, nadmiar zawodów w pamięci — wszystko to nie sprzyja łagodnemu zbrataniu się z tuziemcami. Chyba tylko sztuka mogłaby ulec czarowi form tak gwałtownych. Ale nie było Rembrandta, coby nowoczesnych Lisowczyków zabrał do pracowni i w wizerunku doskonałym uratował ich twarze od zapomnienia.

Na razie, póki na nasz temat nie zaczną pracować pamiętnikarze, ciekawe jest zagadnienie odwrotne: czego nauczyliśmy się, jako odrębna grupa etniczna, przeniesiona z innej ziemi, ocierając się tyle czasu o wielorakie temperamenty, patrząc w najdziwniejsze dusze zbiorowe, jak angielska, francuska, niemiecka, włoska, amerykańska — zapisując przecież mimowoli sposoby bycia tych bogatych ras, z których każda ma twarz zdecydowaną.

Okazało się najpierw, że bynajmniej nie jesteśmy tym najsentymentalniejszym plemieniem, co po słowiańsku duszę przyjaciołom oddaje.

Jak sięgnąć pamięcią do wszystkich możliwych rozmów z rodakami, nie słychać, żeby ktoś u nich zasłużył na trwałe uznanie. Lubiano w bitwie Kanadyjczyków, ale to przez niechęć do Anglików, dla przyjemności wspólnego niecierpienia kogoś trzeciego. Narody lubią się i nie lubią dla przyczyn błachych, jak dzieci, ale są śród nich dzieci wyjątkowo czupurne. W obozach jenieckich te rzeczy były dostrzegalne jak poruszenie się złotych rybek w akwarium. Tam się okazało, że Włosi są sentymentalni i skłonni do przyjaźni jak młode dziewczęta; że Serbowie mają do nas stosunek młodego brata, nacechowany podziwem i nieco chłopską czołobitnością; że Francuzi są głęboko obojętni i zajęci sobą, ale bez demonstracji; że tylko w barakach polskich wrzało życie tęższe i odporniejsze, ale za to wyłączne i pyszne, lubiące wystawę, gest, szyk — często śmieszny w tych warunkach nędznych, będących raczej okazją do rozmyślania i pokory.

Kiedy po zakończeniu działań wojennych część jeńców polskich przeniknęła na zachód, słusznie nie licząc się z granicami, znalazła niemal w każdym wypadku możliwość osiedlenia się, zarobku albo studiów. Znowu człowiek polski zetknął się z mieszkańcami Belgii czy Francji i zaprezentował siebie. Dziś ten szorstki stosunek przetarł się i jakoś ułożył; ale w okresie początkowym znalezienie się Polaków wśród obcych społeczeństw dawało pole do mnóstwa spostrzeżeń. Nie wypadają one na naszą korzyść. Tutaj osobne słowo należy się Belgom. W tym kraju pojęcie o własnej skromnej roli nie mąci świeżego spojrzenia na innych; stąd słuszniejsze przekonanie w bałamutnej kwestii t.zw. wielkich i małych narodów i stosowanie po prostu miary humanistycznej, według której liczy się człowiek, a nie jego firma państwowa.

Każdy, kto się w tym kraju znalazł, miał możność stwierdzić jak najdalej idącą gościnność Belgów. Niejednemu ofiarowano bez żadnych pytań mieszkanie, otworzono portfele i co główne: serca. Zdarzały się śmieszne jak cała polska bieda krzątania wokół tych gości, wędrujących przeważnie bez bielizny, bez franków i bez znajomości języka a jednostronnie wyposażonych w bezczelność i wesołość. Widocznie te figury nonszalanckie miały dużo uroku jako typ nowy, nieprawdopodobny, różny od żywota flamandzkiego, jak wiatry karpackie czy wileńskie są różne od belgijskiej pluchy. W każdym razie wyrosły nad przybłędami dachy troskliwości rodzinnej, ustaliła się niemal na migi wielka „sztama", z której korzyść po dziś dzień wynosi tylko jedna strona.

Zresztą znaleźli się niestety natychmiast osobnicy o temperamencie fagasów, którzy tej uprzejmości nadużyli: pokazali gospodarzom, jak się gra w karty i pije wódkę, wreszcie weszli w bliższy kontakt z policją, która zamknęła ten okres przesadnej „prosperity".

Francuzi w ogóle nie rozczulają się widokiem cudzoziemca, nie dają mu żadnych przywilejów, stosunek jest prosty, zależny od humoru jednostki. Może to kogoś razi, ale trzeba zrozumieć Francuza, którego u-

Zbigniew FLORCZAK

myśl jest ciągle czymś zajęty, który pragnie rozmowy, wspólnej butelki wina i dokładnej wymiany myśli, czego żaden typowy cudzoziemiec mu nie da. Dowcipny i lubiący zrozumienie tego dowcipu Francuz, nie znosi osobników, z którymi trzeba kwękać na migi. Szuka rozmówcy, w którym może dobrze umieścić swoje słowo. Dlatego taką cudowną atmosferę ofiaruje Francja tym, którzy władają biegle jej językiem.

Anglicy nie lubią cudzoziemców. Nie znają ich, nie widzą potrzeby ich poznania, brak im akurat tyle ciekawości, ile trzeba, żeby poczuć w sobie zmysł obserwatora. W Anglii można znać język i zostać „foreingerem" do końca życia: we Francji te opory rasowe, atawistyczne nie istnieją, tam jest czyste pole porozumienia, pod warunkiem odpowiedniego temperamentu umysłowego i dobrej woli. W Polsce było inaczej, tam cudzoziemiec był przyjmowany z rozrzewnieniem, z łaskawością posuniętą do przesady — ale to głównie dlatego, że w polskim stosunku do cudzoziemca istnieje kompleks zagraniczy. I nasza gościnność nie zawsze przynosiła nam zaszczyt.

W kołach moich przyjaciół istnieje jedna idea, której kształt dziś jest jeszcze literacki, nie oparty na programie i który ukazuje się w rozmowach jak czar wróżby z ręki i powoduje nastrój ogólnej tęsknoty. Mówi się o typie człowieka jeszcze nie istniejącego — o obywatelu świata. Civis orbis terrarum — tak to kwieciście i muzycznie brzmi. Myśl, która zawiera w sobie esencję tęsknot powszechnych, zamiar wyjścia ponad żargony skłóconych narodów i wprowadzenia mowy ludzkiej na stopnie szersze, pozwalające widzieć i pracować w zakresie ogromniejszym, niż zmienny jak moda interes polityczny każdego z państw.

Otóż żartobliwie chciałoby się rzec tym terminem o Polakach: oto obywatele świata! Ludzie, których wykres życia, kilometraż przebytej drogi naznaczałby na założycieli nowego zakonu politycznego: humanitarnej międzynarodówki. Nikt, tak jak oni, nie sterał swoich nerwów, woli i zdrowia we włóczędze. Polska historia, można to o niej rzec bez przesady, ma w sobie większe przestrzenie geograficzne, niż historia państw kolonialnych i kondotierskich, jak Hiszpania, Anglia czy Rosja. Dzisiaj szkoły polskie są nie tylko w Indiach, Afryce i w każdej dziurze Europy, ale są nawet ponoć w Grenlandii! Polska literatura w dużej części została napisana i wydana w mnóstwie tomów zagranicznych. A mimo tych oryginalnych okoliczności powiedzieć o rodakach naszych, że są „obywatelami świata", to ranga nie tylko zbyt górna, ale przede wszystkim przez nich samych niepożądana.

Polak jest obywatelem świata nie więcej, niż jest nim Żyd. Wszędzie, gdzie się znajdzie, tworzy moralne getto. Szkoły polskie, gdziekolwiek by były, w Indiach i w Grenlandii, mało uczą prawideł solidarności świata, nie korzystają ze skali porównawczej, jaką ich wyjątkowi uczniowie - wędrowcy mają w sobie, innymi słowy nie pouczają o jedynej możliwości uratowania świata; uczą natomiast goryczy do świata, katechizmu patriotycznej zaściankowości, która sprowadza się do nonsensu w porównaniu z przestrzeniami po jakich patriotyzmowi polskiemu dano przebieg. Polska literatura, która od przeszło stu lat rodzi się na obczyźnie, jest coraz węższa w zakresie dostrzeganych przez siebie zjawisk, tak, że nikt jej, oprócz garstki filologów zagranicą, nie zna i nie rozumie. Liczba polskich wydawnictw zagranicą stoi w niezrozumiałym stosunku do śmiesznie małej liczby przekładów z polskiego. Obywatelstwo świata mamy w odciskach, w krzyżach, które się pociły pod każdą szerokością geograficzną. Ale umiera ono w każdym naszym słowie napisanym, czy wypowiedzianym. Sienkiewiczowski „Latarnik" pozostaje dla nas ideałem w tej mierze.

Polak żywi silną niechęć do Niemców z niezaprzeczalnych przyczyn historycznych. Ale dlatego też nie zdarza mu się popatrzeć na Niemców w oderwaniu od stosunków polsko-niemieckich i dostrzec wszystkie kapitalne zalety tego społeczeństwa. Czystość i bezkonkurencyjna pracowitość, posłuszeństwo wobec prawa, kult organizacji państwowej — to cechy nie mniej składające się na pojęcie Niemca, co fanatyzm polityczny, zaborczość itd. Tymczasem Polak nie zawsze jest tytanem czystości, nie zawsze lubi pracę i ma do pracy archaiczny, sarmacki stosunek, a przede wszystkim ciągle jeszcze przez pomyłkę, jako zawodowy rewolucjonista, odnosi się do czynników własnej władzy państwowej jako do czynników niepożądanych, które w miarę możności należy sabotować. Jeżeli zaś chodzi o kult prawa i organizacji państwowej, to ten jest dopiero „in statu nascendi", przy czym porodowi wybitnie przeszkadzają wojny, okupacje, powstania, bo ciągle sprowadzają pojęcie państwa do miary abstraktu, wysuwając w jego miejsce niewystarczające dla zdrowych społeczeństw pojęcie — narodu.

Nie lubimy też, jak się rzekło, Francuzów, zarzucając im sobkostwo i t.zw. materializm. To ostatnie jest bodaj najgorszym, najserdeczniejszym wyrzutem w naszych ustach. Istotnie Polak nie ma ani krzty zrozumienia dla pewnej postawy narodowej, która nie jest donkisoterią. W konsekwencji nie ma też zrozumienia dla rozmachu twórczości ściśle materialnej, bo Polak nie budował nigdy Paryża, nie zakładał kolonii, tylko sprzedawał swoją krew po wszystkich dziurach świata i to diabło tanio ją sprzedawał. A także powstaniami rujnował dokładnie swoje miasta, co jest dobrym postępem w procesie narodowej dematerializacji. Słowem, możnaby zaryzykować wniosek: Polak nade wszystko nie lubi u obcych tego, czego w sobie nie dostrzega. Na tym niezłożonym kryterium opiera swoje osądy; stamtąd też wynika imponująco bogaty wachlarz polskich niechęci.

Najlepszy przykład, to nasz stosunek do Anglików. Przeprowadzało się na ten temat moc rozmów z żołnierzami Pierwszej Pancernej, którzy znają Anglików od pięciu lat. Niezmiennym refrenem tych wywiadów było: — „Nie lubie, psia krew, dżeków i koniec" — „Czemu?" Przecież to solidny naród. — „Owszem, ale dżek nigdy do polusa nie będzie pasował." — Było w tym wniosku dużo dumy i narodowej fantazji, ale nie było wyjaśnienia rzeczowego. Można je odtworzyć poza cudzysłowem: temperament polski, rownający się naogół trwałemu nastrojowi na „bij — zabij" — co niektórzy wykwintnie nazywają „polotem" — nie odpowiada powolnej, doświadczalnej umysłowości angielskiej.

Tkwi mi w głowie list, jaki pewna bystra Polka napisała z Londynu. — „Anglicy są zupełnie inni niż sobie wyobrażacie, to skończone niedołęgi, które nie nie umieją i jak znajdzie się wśród nich Polak, to zawsze jest asem". — Taki to już nasz ciężki los być narodem bohaterów i asów. Rzeczywiście opowiada się masę anegdot o rzekomym gapiostwie, małej inteligencji Anglików w życiu codziennym. Ale ta anegdotyczna niezaradność angielska ma przyczyny zaszczytniejsze niż się na ogół przypuszcza. Wynika ona z wyczerpującego zorganizowania ogromnej machiny społecznej, złożonej z instytucji samorządowych i państwowych. A także z faktu, że ta machina działa bez przeszkód zewnętrznych od tak długiego czasu. Dobre warunki życia państwowego i rutyna życia społecznego wpływają umniejszająco na indywidualność talentów, wpływają zapewne tak samo, jak brak środowiska dzikiego na zanik pazurów, przytępienie zmysłów słuchu i wzroku u zwierząt domowych. Stąd u Anglików tak wielki kult kompetencji, o jakim u nas nie słychać: sa tam rzemieślnicy, którzy umieją tylko odkręcać śrubki i całe życie odkręcają śrubki, bo im za to całkiem dobrze płacą.

Aby skończyć ten artykuł, w którym niewiele dobrego o rodakach umiałem powiedzieć, powtarzam: nasze swojskie wady znajdują może usprawiedliwienie w szeregu rzeczy przeszłych i obecnych. Naogół system tych autousprawiedliwień jest doprowadzony do doskonałości i nie widzę powodów, żeby go jeszcze ulepszać. Natomiast porównywanie siebie z otoczeniem nie tylko jest u nas rzadkością, ale wogóle jeszcze się nie zaczęło. Uważa się za rzecz nieprzyzwoitą myśleć o sobie w kategoriach rzeczowych, przykładać swoje rewelacje do wymiarów ogólnych, szukać środka zbliżonego do prawdy. Uważa się u nas za rzecz piękną i pożyteczną ogólnie psioczyć: w Anglii na Anglików, w Belgii na Belgów, we Francji na Francuzów. Są na emigracji koła i ludzie, którzy pojęli psioczenie jako swoje posłannictwo. Nie wiem kto się cieszy, komu to przynosi pożytek, kiedy Hemar w swoich nieustających wierszach powtarza po raz sto osiemdziesiąty ósmy: że Anglicy to drania, a my — zgwałcone anioły. Rozumieć tę sytuację można tylko w jeden sposób: że stworzenie atmosfery getta jest naszym planem globalnym. Sytuacja nas skazuje na życie w różnych miejscach świata. Więc robimy wszystko, żeby sobie i otoczeniu to istnienie obrzydzić. Nasuwa się pytanie: czy to jest jakaś „supertaktyka" polityczna, czy sposób bycia silniejszy niż rozsądek?

Tomasz Nowina

NIEMCY „IN STATU NASCENDI"

Monachium, w marcu

Powoli bardzo kształtują się formy nowego życia w powojennych, okupowanych Niemczech. Pisanie o dzisiejszym obliczu politycznym tego narodu zawiera dlatego dwa niebezpieczeństwa: zawrócenia się wyłącznie ku analizie, przy czym siłą bezwładu nawracać się będzie do przeszłości, która nie istnieje i w żadnej formie już nie wróci, — lub ku przedwczesnej i zbyt lapidarnej syntezie, do której brak mimo wszystko dostatecznych podstaw i którą najbliższe wypadki polityczne mogą obalić.

Obecne życie polityczne w Niemczech jest jakby roztworem przed krystalizacją. Wiele momentów czasowych, sztucznie stworzonych potrzebą chwili, „namieszanych" przypadkowo — pływa po wierzchu i zniknie jeszcze przed krystalizacją. Istnieją i dawne osady: jedne — obojętne i pozbawione znaczenia, ale i takie również, które mogą dojść do roli krystalizatora i o całości procesu zadecydować. Istnieją wreszcie punkty koło których krystalizacja już się zarysowuje.

Od porównań przejdziemy do uchwytnych danych. Istnieje obecnie w Bawarii 5 partii którym warto się przyjrzeć. Są to CSU — Christlich Soziale Union, SDP — Sozial Demokratische Partei, WAV — Wirtschafts-Aufbau Vereinigung, FDP — Freie Demokratische Partei i wreszcie KDP — niemiecka partia komunistyczna. Różnią się one między sobą programem politycznym, a co ważniejsza — elementem osobowym. Najsilniejsze znaczeniem oraz liczebnością członków są dwie pierwsze: CSU oraz SDP: umiarkowana WAV ma b. energicznych przywódców, FDP — jest może jedyną, prawdziwie demokratyczną partią, w końcu KDP — partia komunistyczna o przyćmionym blasku i ograniczonym zasięgu działania.

CSU — Christlich Soziale Union (odpowiadająca w brytyjskiej, rosyjskiej, oraz francuskiej strefie okupacyjnej CDU — Christlich Demokratische Union) jest najpopularniejszą partią w Bawarii. Obejmuje dwa odłamy: konserwatywny i socjalizujący i ma tendencje partykularystyczne. Liczy ona dużo oportunistów, a więc właściwie elementu politycznie niezbyt wartościowego. W stosunku do poprzedniego reżimu są to tzw. „Mitläufer", „Minderbelastete" — czyli tacy, którzy go biernie uznawali, a zresztą byli mało aktywni. Po okupacji CSU była pierwszą partią, przeciwstawiającą się Rosji i komunizmowi, a większość jej członków zapisała się do partii w tym czasie i jedynie z tego powodu. Teraz, kiedy inicjatywa anty-komunistyczna przeszła w ręce Socjal-Demokratów, których wodzem jest dr Schumacher, CSU żąda niepodległości Bawarii. Czyni to jednak w sposób nie natarczywy, aby nie utracić poparcia nie bawarskich obywateli. Równie dyskretnie zachowuje się wobec hasła Stanów Zjedn. Europy. Kraj bowiem domaga się polityki, w pierwszym rzędzie trzeźwo wnlczącej o chleb z masłem dla przeciętnego człowieka. Wobec tego przywódcy partyjni nie chcą narazić się na zarzut utopijnych, z codzienną rzeczywistością mało związanych idei. Każda zresztą partia z wyjątkiem komunistów powitałaby chętnie projekt St. Zjedn. Europy — o ile inicjatywa wyszłaby od aliantów i przedstawiała namacalne korzyści dla Niemiec.

Drugą z kolei najsilniejszą partią w Bawarii, a wogóle najsilniejszą w Wirtemberg-i i Berlinie (tak było zresztą jeszcze za czasów przed-hitlerowskich) są socjal-demokraci, SDP. Jej członkowie rzadko, przechodzili do partii hitlerowskiej. Na ogół milczeli, ugiąskani poza tym w poszczególnych wypadkach indywidualnymi korzyściami. Mimo to kadry socjalistyczne przez cały czas odnosiły się do reżimu hitlerowskiego opozycyjnie i krytycznie. Krytycyzm ten, znany i odmieszany pod nazwą „dna Meckern" („psioczenie") nie wyszedł jednak nigdy poza ramy pesymistycznych narzekań. Co prawda zorganizować prawdziwą opozycję było trudno, a nawet niemożliwe. Ironia losu chce, że ci dawni malkontenci reprezentują dzisiaj najgorsze tendencje dawniejszych swych wrogów. Socjaliści żądają przymusowego obowiązku pracy, tajnej policji politycznej i szerzą święte hasła „Grossdeutschland"" (wielkich Niemiec).

Zachować to, co zarobili za czasów Hitlera i bezpiecznie prosperować pod flagą demokracji chce WAV, partia drobnych właścicieli rolnych, która, dzięki energicznemu kierownictwu znajduje się na 3. miejscu wśród innych partii pod względem siły i znaczenie. Prezes partii, Loritz, minister denazyfikacji w nowym, bawarskim rządzie, stosuje zasadę łagodnej kary lub amnestii dla przeciętnych członków partii narod.-socjalistyczne, a surowych wyroków dla tzw. „Bonzen" — grubych ryb partyjnych. Zbyteczne podkreślać, że drobni „nazi" stanowią znaczny procent członków WAV'u.

W odróżnieniu do poprzednio wymienionych, Freie Demokratische Partei — FDP ma pewne zadęcie idealistyczne i demokratyczne. Żąda ona zniesienia przymusu pracy, zniesienia dyktatorskich ustaw, wprowadzenia wolnej gospodarki, usunięcia przerostu władzy urzędników, zniesienia, gdzie się tylko da, kontroli państwa, jak również przymusowych ubezpieczeń społecznych i nadmiernego podatkowania. FDP skupia inteligencję, koła akademickie i niektórych dawnych członków partii narodowo-socjalistycznej, zrażonych metodami rządów Hitlera. W FDP zmartwychwstały resztki partii liberałów, która rozpadła się krótko po utworzeniu w 1945. Aktualne znaczenie jej jest małe. Brak jej energicznego kierownictwa, zdolnego rozpowszechnić wśród szerszego ogółu naczelne hasła programu.

KDP — „Kommunistische Partei De

Życie kulturalne w Kraju

„HISTORIA JEDNEGO ŻYCIA"

Znakomity bakteriolog i serolog polski, przed wojną dyrektor Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie oraz profesor Uniwersytetu J. P. i Wolnej Wszechnicy, Ludwik Hirszfeld, wydał swoje pamiętniki pt. „Historia jednego życia" (wyd. „Czytelnik"). Jest to spory tom, liczący ponad 300 stron druku.

Pamiętnik prof. Hirszfelda składa się z dwóch części: pierwsza obejmuje jego życie i działalność naukową do wybuchu wojny; część druga — znacznie obszerniejsza — doprowadzona jest do listopada 1944 r. W lutym r. 1941 prof. Hirszfeld wraz z rodziną odstawiony został do getta warszawskiego, skąd potem wyratowany został przez jednego ze swych przyjaciół. Odtąd obracał się i wśród chłopów na wsi, i w pewnym „arystokratycznym i konserwatywnym dworze", co pozwoliło mu na wiele obserwacji z zakresu wzajemnych stosunków Polaków i Żydów.

O ile część pierwsza pamiętników nie wychodzi poza ramy kroniki „jednego życia", to część druga jest o wiele bogatsza i zawiewiera liczne interesujące dygresje oraz uwagi natury ogólniejszej. Jak sam autor wyznaje, pisana jest „krwią serdeczną" w walce „o pewne hasła i pewne idee". Ten 62-letni dziś uczony, wrośnięty najgłębiej w polską kulturę, ilekroć mówi o stosunkach Polaków i Żydów, budzi największy szacunek. W rozdziale pt. „W cieniu kościoła Wszystkich Świętych" maluje kilka sylwetek Polaków, z którymi stykał się w getcie. „Prałat Godlewski. Gdy wymawiam to nazwisko — płacze prof Hirszfeld — ogarnia mnie wzruszenie. Namiętność i miłość w jednej duszy... Gdy los zetknął go z tym dnem nędzy, cały żar swego kapłańskiego serca poświęcił Żydom. Gdy pojawiła się jego piękna siwa głowa, przypominająca oblicze Piotra Skargi z obrazu Matejki, w miłości i pokorze schylały się przed nim głowy. Kochaliśmy go wszyscy: i dzieci i starcy, i wyrywaliśmy go sobie na chwilkę rozmowy. A nie skąpił siebie..."

Ta i podobne charakterystyki mają wagę argumentu w wywoływanej co jakiś czas dyskusji na temat tzw. sprawy żydowskiej. W rozdziałach „Punkt zwrotny narodu żydowskiego" i „Wielka wina" z bezstronnością uczonego podaje fakty i snuje ciekawe rozważania ogólne, które dążą do wyrównania narosłych w ciągu tych bolesnych lat wzajemnych zadrażnień.

Obecnie Hirszfeld jest profesorem Uniwersytetu im Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

„TEATR ARTYSTYCZNY" WITKIEWICZA

Stanisław Ignacy Witkiewicz niemal całe życie snuł marzenia o teatrze „czystej formy". Chodziło mu o sztukę sceniczną, która by była wolna od wszelkiej problematyki, która by dawała widzowi ten „dreszcz metafizyczny", jaki odczuwali — według autora „Pożegnania jesieni" — widzowie w teatrze greckim czy średniowiecznym. W ostatnich latach życia powrócił Witkiewicz do swych idei, formując je z większą niż dawniej ostrożnością i z większą — systematycznością. Rękopis pracy o „teatrze artystycznym" pozostawił, gdy jesienią 1939 r. żegnał się z życiem. Rękopis ten odnaleziony został i ogłoszony obecnie w dwutygodniku „Listy z Teatru".

„Mógłby sobie — snuje swą myśl Witkiewicz — w każdym mieście istnieć teatr realistyczny. Tam napawaliby się skondensowanym życiem w skomprymowanych pigułkach ludzie nie mający po jeszcze dość w przebiegu codziennych dni... Tak samo może być społecznie korzystne propagowanie przy pomocy teatru pewnych idei, stanowienie i rozstrzyganie problemów — społecznych, narodowych czy życiowych. Ale po co to mieszać ze sztuką?... Obok teatrów „życiowych", jak je można by nazwać, mogłyby istnieć — choćby w niektórych większych miastach, o bardziej zróżniczkowanej publiczności — teatry czysto artystyczne".

Nie ma już w tym może tej namiętnej pasji polemicznej, jaka cechowała pierwsze wystąpienia Witkiewicza. Teatr artystyczny, który w dobie pierwszych bojów o „czystą formę" Witkiewicz uważał za jedyną dopuszczalną, w późniejszych jego przemyśleniach zajął miejsce obok teatru tout court, który nie wyrzekł się nigdy i nie wyrzeknie swej roli społecznej. Teorie Witkiewicza były objawem bujności w bogatym wachlarzu polskiej twórczości dwudziestolecia międzywojennego. Jego drażniące nieraz wypady polemiczne przyczyniły się do ściślejszego określenia wielu pojęć artystycznych.

90-LECIE KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA

Znana księgarnia Gebethnera i Wolffa obchodzi w tym roku 90-lecie swego istnienia. Jest to jedna najstarsza w Polsce firma księgarsko-wydawnicza. Założona została w r. 1857. Przed dziesięciu laty, na 80-lecie, wydała piękną księgę pamiątkową, opracowaną przez znanego bibliofila prof. Jana Muszkowskiego. Autor zebrał w niej całą masę ciekawych szczegółów z historii księgarstwa polskiego i cennego materiału anegdotycznego z życia wielu naszych znakomitych pisarzy. Nie było chyba na przestrzeni tamtych 80 lat pisarza, którego by nie wydawał Gebethner i Wolff, i który... nie wykłóciłby się z firmą o honoraria. Tak np. Teimajer, który z powodu swego przybranego syna był w ciągłych tarapatach finansowych, oburzał się, że za swoje poezje dostaje mniej, niż niezwykle wówczas poczytna Konopnicka. Sienkiewicz otrzymał w r. 1901 za „Trylogię" 30 tys. rubli. W przeliczeniu na dzisiejszą wartość złotego stanowiłoby to pewnie miliony.

WYSTAWA DRUKÓW W OLSZTYNIE

W Olsztynie, stolicy ziemi warmijsko-mazurskiej, została otwarta wystawa druków, które ukazały się na Mazurach od XVI po wiek XX. Na wystawie znajduje się m. in. numer „Poczty Królewieckiej" — pierwszej polskiej gazety. Pismo to wychodziło w wieku XVI w Królewcu i przez dłuższy czas było jednym w tej części Europy periodykiem.

W Ełku na Mazurach powstała jedna z pierwszych na tym terenie drukarni polskich. Założona została w styczniu 1536 r. przez Jana Małeckiego. Jak wszystkie ówczesne druki polskie książki w oficynie Małeckiego drukowane były tzw. szwabachą, czyli czcionką kroju gotyckiego. Szwabacha, zwana tu „krakowskim szryftem", do dziś ostała się na Wschodnim Pomorzu.

Drukarnia jest czynna do dzisiaj. Jeszcze w ub. wieku wychodziła w niej „Gazeta Polska", która przez długie lata podtrzymywała nie wygasłą polskość twardych Mazurów.

LICEUM WARMIJSKO-MAZURSKIE

Tradycje naukowe zamkniętego Liceum Krzemienieckiego przejmuje powstałe w Szczytnie Liceum Warmijsko-Mazurskie. Od paru tygodni Liceum zajmuje pomieszczenie w dawnym zamku krzyżackim.

Zamek krzyżacki w Szczytnie został przez Niemców przebudowany i dzisiaj już nie przypomina dawnej siedziby komturów. Niemniej tradycja miejscowa przechowała w pamięci wspomnienia walk z podstępnym Zakonem Krzyżackim. Jedna z ulic do dziś nazywana jest „Drogą Jurandowa", od nazwiska rycerza, unieśmiertelnionego przez Sienkiewicza w „Krzyżakach".

J. P.

W X rocznicę zgonu Karola Szymanowskiego

TWÓRCA NOWEJ MUZYKI POLSKIEJ

W dniu 27 marca mija dziesięć lat od zgonu największego twórcy w muzyce Polski Odrodzonej — Karola Szymanowskiego. Mimo, że okres to stosunkowo krótki i niemal w całości stojący pod znakiem wojny, można już dzisiaj bez cienia wątpliwości stwierdzić ogromne znaczenie twórczości Szymanowskiego. Wyraziście zarysowuje się rola jego muzyki w kraju, dobitnie świadczy o jego utrwalonej pozycji w muzyce europejskiej rozgłos i uznanie, spotykane niemal na każdym kroku.

Karol Szymanowski

A przecież, przyznajmy to szczerze, w zerszych kołach słuchaczy polskich muzyka jego jeśli jest znana to fragmentarycznie i powierzchownie i, jak się to przyjęło mówić, jest „niezrozumiała". Dla wielu z nas muzyka Szymanowskiego jest synonimem mało pociągającego świata dźwięków, w którym panuje zgiełk dysonansów i dziwaczna melodyka, trafiająca jedynie do ograniczonego koła wtajemniczonych.

Obce wydania dzieł Szymanowskiego, pojawianie się ich w programach koncertów na estradach zagranicznych — krępują wielu, być może podświadomie, w okazywaniu swego nieukontentowania wobec tej muzyki, jako, że stała się ona ważną pozycją eksportową naszej kultury artystycznej. Trudno określić, w jakim stopniu na zapanowanie muzyki Chopina w sercach polskich już przed stu laty wpłynął fakt, że stał się on zrazu „prorokiem w obcym kraju". Jeśli i dzisiaj zwolna tylko leczymy się z reszty grzechów wobec Chopina, z których główny to ciągle niedostateczną jeszcze świadomość jego epokowego znaczenia w świecie rozwoju muzyki, dopomaga nam w tym widoczny na każdym kroku kult dla jego muzyki. Zaryzykować można twierdzenie, że i Szymanowski zebrał na razie obfitszy plon uznania u obcych, i to w znaczeniu sięgającym poza zewnętrzny raczej fakt, że zbiorowych wydań jego dzieł dokonały wielkie firmy wydawnicze w Paryżu i Wiedniu.

A tymczasem zasługuje on w pełni na miano twórcy nowej muzyki w Polsce Odrodzonej. Przy tym muzyki pięknej, która ma wszelkie dane by stać się własnością szerokich kół słuchaczy polskich.

Spróbujmy wziąć na serio zarzut „niezrozumiałstwa" tej „nowoczesnej" i „awangardowej" muzyki i podejmijmy próbę obrony. Argument, że muzyka ta wymaga od słuchacza dużej kultury, jest o tyle nieistotny, że wymaga jej głębsze podejście do każdej w ogóle muzyki. Wymaga jej w pierwszym rzędzie i „zrozumiały" Chopin, jako autor ballad, preludiów i impromptów. Sedno w tym, że Chopina poznajemy przede wszystkim jako autora nokturnów, walców i mazurków, poloneza A-dur i preludium „deszczowego". Szereg szczególnie popularnych, łatwiejszych technicznie utworów pada wprawdzie ofiarą amatorów i, o zgrozo, przeróbek wokalno-instrumentalnych, lecz utrwala pierwszy, nieraz decydujący, kontakt z Chopinem. Podobnie Beethoven objawia się zazwyczaj wolną częścią „księżycowej" sonaty, a Schubert „Serenadą" i melodyjnym tematem „Niedokończonej".

Czy Szymanowski nie ma utworów, które mogłyby spełnić rolę „wprowadzającą"? W sensie szerszym — niewątpliwie nie. Utwory jego są przede wszystkim trudne technicznie i przeznaczone zasadniczo dla wirtuozów, panujących zdecydowanie nad swym instrumentem. Szymanowski, jak nikt inny, był wrogiem wszelkiego kompromisu i przeciętności, nie znał łatwizn, schlebiających czymkolwiek gustom. Tym niemniej szereg jego utworów może znakomicie spełniać rolę pomostu ułatwiającego kontakt z całą jego twórczością. Cała rzecz w tym aby się na ten pomost dostać. I tu, niestety, nie napotyka się na niczyją pomoc.

O ostatnich latach przed wojną, gdy zwłoki Szymanowskiego odbyły swą ostatnią podróż z Lozanny, gdzie uległ śmiertelnej chorobie, przez Warszawę do grobów zasłużonych na Skałce w Krakowie, zapanowała oficjalna moda na jego muzykę. Wykonawcy uważali za swój obowiązek raczyć nas masowo muzyką Szymanowskiego. Estrady koncertowe i radio poświęciło szereg, nie rzadko dwugodzinnych, audycji jego utworom, podając je bez oglądania się na możliwości słuchacza, który w większości wypadków stykał się z tą muzyką po raz pierwszy. Rezultat łatwy do przewidzenia: nie popularyzacja, a odstraszenie. Zbudowano nie pomnik Szymanowskiemu, a mur pomiędzy nim a słuchaczami.

A tymczasem wielokrotnie dawało się stwierdzić, że grono nie uprzedzonych słuchaczy, znajdując w programie koncertu jeden z utworów takich jak: „Pieśni Kurpiowskie" „Nokturn i Tarantelę", „Źródło Aretuzy", „Rymy dziecięce" czy nawet „Mazurki" — ulegało względnej prostocie i nieodparciemu ich czarowi. Uderzała oczywiście nieodzowność tych przepięknych utworów, ich odrębność i świadome nowatorstwo w zestawieniu z dotychczas słyszaną muzyką, ale wrażenie było dodatnie i pierwszy kontakt z Szymanowskim nawiązany.

Muzyka to bezsprzecznie niełatwa, bo i wymagania jakie stawiał sobie sam twórca były ogromne. „Do serca własnego narodu dotrzeć może artysta jedynie drogą stwarzania wszechludzkich wartości" — pisze sam Szymanowski, subtelny i wrażliwy estetu, głęboki myśliciel, nie pozbawiony przy tym talentu literackiego. Ideał każdego twórcy na wielką miarę — to nie zamknięcie się w ciasnych ramach regionalnych, ale podanie wartości ogólnoludzkich w indywidualnej szacie własnego stylu, w którym odzwierciadla się duch narodu jaki twórcę wydał. Odzwierciadla się tym pewniej, gdy źródłem natchnień będzie rodzima twórczość ludowa. Ale zadaniem twórcy nie jest tylko tłumaczenie skarbów swego regionalizmu na ogólnie zrozumiały język: ma on być nie naśladowcą, ale twórcą. Świadom jest tego Szymanowski, gdy pisze: „Mechaniczne posługiwanie się twórczością ludową prowadzi do najsmutniejszego z akademizmów". Kompozytor winien przejąć się duchem muzyki rodzimej, tworzyć muzykę duchowi temu bliską lecz własną. Jeśli ma ona nadto ambicje wyjścia poza ramy regionu, pociągającego obcych jedynie swym względnym egzotyzmem, musi więzyć się niejako do kręgu wartości powszechnych, nawiązać do już utrwalonych zdobyczy, jako do punktu wyjścia, i przetopić je w tyglu poszukiwań własnego stylu. „Nie należy w mojej muzyce szukać kosmopolityzmu, czy gorzej jeszcze — internacjonalizmu. Można w niej znaleźć jedynie europejskość, ta zaś nie zaprzecza polskości."

Że nawet wielkie talenty marnieją, gdy zabraknie im szerszego oddechu, dowodem jest tak nam droga twórczość Moniuszki. Ideałem kompozytora, który wytworzył styl narodowy, tchnący „europejskością", był dla Szymanowskiego Chopin. Stał się on dlań punktem wyjścia i tu też szukać należy dalszego sprawdzianu, że muzyka Szymanowskiego jest w najgłębszej swej treści polska. A inny jeszcze sprawdzian to wytworzenie w szerokich ramach „europejskości" odrębnego stylu — **polskiego stylu narodowego w muzyce** — o kulturze na wskroś nowoczesnej.

Cała rzecz w tym, jak tę polskość rozumieć. Polskość w sztuce to niekoniecznie czysto nieraz zewnętrzna polskość tematu. Malarstwo polskie to nie husaria, rontusze czy stroje krakowskie, to niekoniecznie pejzaż rodzimy. To malarstwo, w którym bez względu na temat wyrazi się w sensie czysto malarskim odrębny język i styl polski. Wszakże nie tematy przesądzają polskość „Sonetów Krymskich" czy „Grobu Agamemnona". Odwrotnie — polskość tematyki nie da nawet złudzenia polskości utworu gdy duch jego pozostanie obcy. Przykładem mogą być „Polonie" Wagnera czy Elgara, które — czerpiąc nie tylko tematy, ale całe fragmenty z dobrze znanych utworów polskich — pozostają dla polskiego słuchacza obce. Szymanowski był właśnie tym, który podjął walkę o polską muzykę narodową w najistotniejszym tego słowa znaczeniu. Jest on najwybitniejszym z grupy muzyków, którzy na przełomie stulecia podjęli pod hasłem „Młodej Polski" zaprzepaszczone w dobie mistu twórcze skarby muzyki Chopina i przez zespolenie ich ze zdobyczami współczesnej im muzyki europejskiej, przez tchnięcie w nią ducha rodzimej kultury, zdołali uzyskać potężną syntezę — nową muzykę polską. W krótkim czasie stworzono symfoniczną muzykę polską nie ustępującą w niczym twórczości Zachodu. Bezpośrednim poprzednikiem Szymanowskiego był Karłowicz, który zmarł tragicznie w chwili, gdy w jego wspaniałych poematach symfonicznych począł wykrystalizowywać odrębny, własny styl.

Szymanowskiemu sądzone było żyć dłużej i wypowiedzieć się wszechstronniej. Jak każdy twórca walczący o nowe hasła, odbył i Szymanowski długą drogę. Jest to jeszcze jeden z powodów, dla których z muzyką jego trzeba zżywać się nie bez pewnej ostrożności. W początkowych utworach świerdzimy wyraźny wpływ Chopina, do którego twórczości nawiązywał świadomie. Uległ następnie wpływom impresjonistów francuskich. Od początku jednak jest twórczość jego pełna najśmielszych poszukiwań ściśle osobistych. Pieśni jego zadziwiają bogactwem muzycznym, spoistością muzyki i tekstu, oraz świetnością charakterystyki. Większe utwory cechują monumentalność koncepcji, nowoczesna szata dźwiękowa i dbałość o czystość faktury.

Każdy jego utwór nosi w sobie piętno doskonałości technicznej. Ostatnie lata życia przynoszą w pełni dojrzały, własny styl, w którym narodowość tematyki łączy się z narodowością techniki. I jak zawsze: to co przedtem było, być może zbyt skomplikowane, staje się przedziwnie proste. W jego bogatym dorobku artystycznym, obejmującym wszystkie niemal formy od fortepianowych preludiów, wariacji i sonat, pieśni, utworów kameralnych, koncertów skrzypcowych, dwóch oper („Hagith" i „Król Roger") i czterech potężnych symfonii, wymienione fazy wykuwania własnego stylu zarysowują się z całą wyrazistością. Najgłębszą jego kompozycją jest „Stabat Mater" na solo, chór i orkiestrę, wykonane jeszcze za życia twórcy m. in. w Nowym Jorku pod dyrekcją Toscaniniego. Najefektowniejszą — balet „Harnasie", również za życia po raz pierwszy wykonany w operze praskiej, a ostatnio w ramach koncertowych otwierający wenecki Festival Muzyki Współczesnej.

Ostatnie utwory powstały z przejęcia się muzyką góralską. Przodują w nich niedoścignione mazurki (przedziwna synteza rytmów Mazowsza z melodyką Podhala) i drugi koncert skrzypcowy.

Można w twórczości współczesnych nam obcych kompozytorów odnaleźć dzieła, które pod niejednym względem poszły dalej w poszukiwaniu nowych środków wypowiedzi. Znacznie już trudniej znaleźć takie, z których, jak z dzieł Szymanowskiego, biłaby ich najistotniejsza cecha — wielkość. Podstawy stylu narodowego, rzucone przez niego, okazują się trwałe, styl to bowiem świetny i z ducha nam bliski.

Trudno dziś mówić o „szkole" Szymanowskiego. Pewne jest jednak, że jego idee twórcze wytknęły drogi rozwoju muzyce polskiej i że dzisiaj młodzi nasi kompozytorzy znajdują w muzyce jego doskonały wzór i szerokie horyzonty dla dalszych dokonań. A w samej postaci Mistrza widzą niemniej doskonały symbol wytrwania przy szczytowym **credo artystycznym.** Bez względu na to, w jakim kierunku pójdzie dalej rozwój naszej muzyki (a rozwija się ona świetnie), bez względu na to, czy uda się nam w sto lat po Chopinie wytworzyć raz jeszcze „szkołę" o europejskim znaczeniu — Szymanowski pozostanie jednym z najmocniejszych filarów muzyki polskiej

Henryk SWOLKIEŃ

Z TEKI RYSOWNIKÓW

Z. TURKIEWICZ — Edynburg

HALINA GOŁĘBIOWSKA

NIEDOBRE ZNAKI

I

Jakieś są wróżby złe, jakieś niedobre znaki —
Wczoraj wieczorem przez mgłę ktoś biegł. Kto taki?...

Niby to wszystko jest nic,
niby to tylko tak.
— — A w lustrze zamiast lic
jest znak.

Gdzież się nieszczęście ukrywa, gdzie jest, czy tam, czy tu?
Człowiek się z krzykiem porywa, z krzykiem się zrywa ze snu,
Kamienia polnego prosi „Zamień się ze mną, zamień!..."
Głową, niby kamieniem, tłucze o kamień.

A brzoza drobną szeleści „Gubisz się, gubisz, gubisz..."
— Lubisz?

II

Niechaj tylko się zrobi naprawdę ciemno,
już chwytają mnie zmory pazurami!
Z krzykiem szarpią i dziko tańczą ze mną
ogromnymi, podniebnymi susami.
Siedem zmór, siedem tańców,
siedem gór, siedem szańców —
— a za siódmą górą, za doliną,
jasne wody wiosenne płyną, płyną,
rozlewają się, zatapiają aż do krańców — —

Gdy się chylą nade mną siedmią paszcz,
kiedy zemsta ich straszna już się iści —
— Umarła młodość spada mi z ramion, jak płaszcz,
u nóg leży, jak kupa liści.
Rozwiewają się te liście płowe, rdzawe —
mają wtedy z nimi zabawę —
Potem ogień wszystko oczyści.
Siedem lun, siedem pożarów,
siedem zaklęć, siedem czarów,
siedem znaków nienawiści.

Wieje martwy wicher przez pusty świat —
wloką, wloką mnie do swego gniazda!
Księżyc wzleciał — i stanął — i zbladł — i spadł
między suche, szeleszczące gwiazdy.

. . . . . .

Puszczają mnie, bo już nie mam siły.
Wiedzą, że mnie zwyciężyły.

. . . . . .

Płynie chwiejne czółno po wielkich wodach,
rozkwitają kwiaty w ogrodach.
Na niebo wyszło siedem jasnych obłoków —
— oddech, oddech — ach, jak wysoko — —

Może mnie wybawił mój miły?

LISTY Z LONDYNU (VI)

Kino ukradło nam pocałunek

TECHNIKA POCAŁUNKU

Nic tak nie boli w skroniach (poza zapaleniem okostnej) jak codzienny widok pstrokatych plakatów reklamowych, nie zmienianych od miesięcy.

Mało jest miast europejskich tak silnie dotkniętych zgiełkiem krzykliwego afisza jak Londyn. Ta pstrokacizna, ta kocia muzyka barw — na tle wiktoriańskich budowli razi jak szminka na twarzy nabożnej przeoryszy. Papierowy liszaj na cerze Londynu na wszystkich ulicach i skwerkach posiada ten sam triumfujący kolor i kształt. Kiedyś (starsi czytelnicy niewątpliwie pamiętają te czasy) pocałunek jako nieodzowna pieczęć z czerwonego laku, postawiona na znak zawarcia serdeczniejszej znajomości pomiędzy dwojgiem młodych ludzi, miał w sobie coś z misterium. Był wstydliwy jak damski kostium kąpielowy z epoki „fin de siècle'u", był szczerze zakłopotany i ściśle intymny, nieraz zakonspirowany aż po grób.

A dzisiaj — milcz serce! — staczamy się na samo dno brutalnej dewaluacji obnażonego pocałunku. Dzisiaj — w każdym autobusie, na każdym parkanie, szaletowych nie wyłączając, publicznie, bezwstydnie, urbi et orbi, wręcz ekshibicjonistycznie, dwoje młodych głuptasów (made in Hollywood) prezentuje jego technikę w kilkudziesięciu możliwych wariantach. Liżą się za przeproszeniem, dziobią, ocierają policzkami i nosami. Raz on z lewej, a ona z prawej, to znów na odwyrtkę. To z profilu, to en face, to na trois quarte, to z lotu ptaka, a niech ich wszyscy rozumokami diabli porwą w swe objęcia! Jest się czego nauczyć! Gary Cooper na ten przykład chwyta swoją partnerkę serdecznym palcem prawej ręki pod lewe ucho, co można zauważyć na monstrualnych rozmiarów plakacie filmu: „Cloak and Dagger", Danny Kaye przyzwyczaił natomiast p. Arthurowi Kennedy gmerać jedną rączką w oblanej brylantyną wiecznej ondulacji, a drugą zaś tarmosi go za policzek. Może to brzmi trywialnie, ale nie lepiej, zaiste, wygląda w rzeczywistości. Straszna to rzecz, niemal apokaliptyczna, w swej dantejskiej grozie patrzeć jak wisi taka para (jak uczy fryka - para nienasycona) u swoich ust i nijak się od siebie oderwać nie może, jak wszechczna Valerie Hobson dmucha bez przerwy Johnowi Millsowi w zakochane oczęta. Cóż to za perfidna ars amandi, o jakiej biegłemu Owidiuszowi się nie śniło! Cóż za przejmująca lekcja poglądowa! Wędrujesz sobie, przerażony, tunelem podziemnej kolejki, a tu bez przerwy jak słupy ogniste, jak żywe pochodnie, palą się karminowe pocałunki, mdleją na oblepionych ścianach pary w ośmiometrowych uściskach. Chwytasz za „The Evening News", chcesz ukryć twarz w gazecie — lecz na ostatniej stronie całują się znowu, na ścianie kolejki — jeszcze się nie rozpletli, na cmentarnych murach — męczą się dalej, gdzie spojrzysz dokoła — zamęt, orgia, potop nienasyconego pocałunku! Z jaką ulgą przechodzisz koło kościoła metodystów. Tu już, chwalić Boga, kończy się ziemski świat pocałunku. Skromny plakat na drzwiach głosi, że „w sobotę nowy program — psalmy śpiewa Eddy Stamps!"

TYLKO DLA NUDYSTÓW!

Uff, nareszcieśmy się wydostali z oszalałego małpiego gaju rozcałowanej do białej gorączki miłości. Ale — o zgrozo! — apage satanas! Na ośmiometrowym plakacie filmu „The Outlaw" biedna, niedocałowana Jane Russel leży wprawdzie sama i opuszczona, ale opuszczona w tak ponętnej pozie i przy tak minimalnym zużyciu punktów odzieżowych, że nawet zahartowanym stałym premeratorom organu nudystów brytyjskich „The Naturalist" włosy stają na głowie. O mamma mia!

Jak informują życzliwi rodacy — nudyzm również został przewidziany w Brytyjskiej Wspólnocie Narodów. Jest on zorganizowany w zamkniętych ogródkach, do których stosunkowo łatwo się zapisać, ale z których jeszcze łatwiej wylecić za parkan, w świat ludzi ubranych. Parki natury przypominają hodowlę kucyków na wolnym powietrzu lub zgoła radę familijną w łazience.

Chciałem je porównać do łaźni garnizonowej, ale nasze łaźnie posiadają znacznie więcej wdzięku. Parkan w tym ogrodzie nie ma sęków, a na łączce hasają sobie na golasa „naturaliści" bez różnicy płci i wieku. Staruszkowie kołyszą się na hamakach, a dziatwa puszcza okręciki na stawie. Nie wolno rzucać papierów na ziemię i wielu, wielu rzeczy nie wolno, gdyż przepisy w parkach natury są bardziej kłopotliwe od chodzenia w adamowym stroju. Na tablicach są tam wypisane jakieś okolicznościowe wersety z księgi Genezis, wokół tej ludzkiej menażerii krążą dyżurne Horpyny z Łysej Góry rodem, o natchnionych minach rozpsalmionych chórzystek z Armii Zbawienia, a kiedy „sister - supernudystka" uderzy w dzwon należy posłuchać wykładu o „zgubnym wpływie noszenia odzieży na moralność naszego stulecia".

Ten sekciarski nudyzm nie jest rzeczą praktyczną, gdyż równie dobrze można śpiewać hymny w ubraniu. Argusowe oko moralności czuwa również nad teatrzykami nocnymi. Gwiazdeczkom wolno występować bez odzienia, ale tylko pod jednym warunkiem — że się na scenie nie poruszą. Stoją więc biedaczki pokryte gęsią skórką jako żywe obrazy (moralności) czy greckie posążki na cokołach.

Kiedy spada kurtyna wszyscy — tak zmarznięte huryski jak i widownia, uważają to za dobrodziejstwo. Widz, zmęczony torturą dziewcząt na scenie, ociera pot z czoła i przyrzeka sobie święcie więcej tutaj nie przychodzić.

Być może, że pewnego dnia fala publicznego oburzenia zaleje te ogródki natury, zerwie plakaty miłosne i uwolni posążki od marznięcia, gdyż — jak pisze w swym studium o Byronie Anglik Macaulay: „Nie można sobie wyobrazić nic śmieszniejszego jak widok społeczeństwa angielskiego podczas jednego z periodycznych napadów moralności. Raz na sześć czy siedem lat budzi się w nas poczucie moralności. Nie możemy wtedy spokojnie patrzeć dalej na wykroczenia przeciwko zasadom religijnym i obyczajowym. Wybiera się więc pierwszego lepszego z brzegu nieszczęśliwca, który nagrzeszył być może, i pomimo, że na tylu współziomków patrzy się przez palce, na nim jednym sprawiedliwość postanawia zadośćuczynić swej zemście. Społeczeństwo angielskie z uczuciem pewnej zarozumiałości rozważa własną surowość i z dumą stwierdza rozkwit moralności na gruncie W. Brytanii w zestawieniu na przykład z paryską swawolą. Po zadośćuczynieniu tego rodzaju, oburzenie cichnie, ofiara dogorywa w milczeniu, a cnotliwość angielska układa się na nową siedmioletnią drzemkę". Tyle złośliwy Anglik pro domo sua. Jeśli przenieść jego teorię o cosiedmioletnim wybuchu moralności na teren polityki międzynarodowej, w roku 1952 należy oczekiwać ekspedycji karnej na ... i nowej Norymbergi przeciw ...

NA MARGOWY TEMAT

Kiedy siadam wieczorami przy oknie na Ladbroke Grove, przypomina mi się Mozart. Mozart w młodym wieku, który panicznie nie znosił dźwięku trąbki. Kiedy go zły papa zmusił do słuchania solowej partii na trąbce, chłopak wpadł w konwulsję. Szczęśliwy Mozart, trąbka mu dokuczała! Zaraz widać, że wiecznemu koncertu londyńskich kotów nie potrafiłbował wysłuchiwać. Ten metafizyczny somnambuliczny miauk nad miaukami gorszy jest od trąbki.

Tomasz Carlyle mógł oddawać się swej literackiej twórczości tylko w najcichszym osamotnieniu, toteż pewnego razu przez usunięcie piejącego koguta w Chelsea małżonka pisarza dokonała najbardziej mistrzowskiej sztuki swego życia. Ale spróbuj tu dotknąć się angielskiego kocura! Zemsta tubylców cię dotknie. Kochany prokonsul Gneius Manlius Volso, który w 187 roku przed Chr. zniszczył — jak powszechnie wiadomo — państwo Seleuków, w toku akcji pacyfikacyjnej nie tylko powycinał w jednym z grodów wszystkich nieprzyjaciół, ale również — jak głosi fama — nie darował zwierzętom domowym, tak się zdenerwował.

Koty otacza się tutaj jakimś religijnym kultem, jakiego nawet staroegipski byk nie zażywał nad Nilem. Są to koty - olbrzymy, tłuste, okrągłe, istne globusy oblepione długim włosem, mają złe, pełne ksenofobii ślepia i rozpaczają po nocach na pełny regulator jak niemowlęta kąpane w za gorącej wodzie. Mozart mógł sobie wpadać w konwulsje, Gneius Manlius wbijać je na piki, a tu, kocie nasze szczęście, w umeblowanym pokoiku za srogie funty musisz się jeszcze, bracie - emigrancie, uśmiechać słodko do tej znienawidzonej kuli kociego mięsa, bo to, panie dzieju, kot twojej gospodyni, kot - gospodarz tej ziemi, a więc gładzisz go po puszystym grzbiecie i mówisz: „very nice!" ...

NA PERYFERIACH MELANCHOLII

Londyńczycy to mili i grzeczni ludzie, uśmiechają się jak Chińczycy, noszą parasole przy pogodzie i cały dzień mówią o pogodzie, ale o Londynie można wszystko powiedzieć, tylko nie to, że jest ładnym miastem. Twierdzą to zresztą sami Londyńczycy, czekając na zaprzeczenie cudzoziemca. Londyn posiada swój urok, swój swoisty aromat starego portera, swoje wspaniałe zabytki i masę ślicznostek, ale — jak się to mówi o brzydkiej pannie w rodzinie — jest bardzo miły i sympatyczny. Atoli już parę mil od śródmieścia wzdycha się do piękna naszego Białegostoku czy Drohobycza, tam przynajmniej każda rudera posiada swój indywidualny wyraz, czy to w postaci wietrzącej się na drewnianym balkonie pierzyny, czy złotego rogalika namalowanego na ścianie.

A tutaj ciągną się wciąż te same, beznadziejne, smutne, wisielczo - jesienne ulice, podobne do siebie jak jedna aleja na cmentarzu do drugiej. Ciągną się w szablonowym ochędóstwie, w dymie wadliwych kominów i we mgle, wlokąc za sobą dwupiętrowe rudery, tu i ówdzie osmalone i przetrącone, z dwiema steotypowymi kolumienkami, z których tynk leci, gdy silniej stąpniesz. A pod tymi kolumienkami wszędzie tych samych siedem czy osiem stopni, obstawionych pustymi butelkami od mleka. A po dachu pełzają kikuty sterczących kominów, pale męczarni dla oka. Wiatr gna stare bilety autobusowe i unosi popiół z blaszanych kuf pełnych niewypróżnionego śmiecia. Co trzeci dom to antykwariat

T. KUBALSKI — Kwiatay

ze starymi kulawymi stołami, które by u nas dawno już strawił ogień. Nawet plakatów tu nie ma. Na „świeżym" powietrzu, w dymie, kurzu i zgniłej mgle wietrzą się niemowlaki z dużymi głowami, zapasione tranem i sokiem pomarańczowym jak zwierzęta domowe na wystawie rolniczej.

Jedyną ozdobą tych ponurych ulic są młode Angieleczki, które przemykają z tak typową dla mieszkanek tego miasta nonszalancją w uczesaniu i elegancką niedbałością w ubraniu. Na pewno biegną do music - hallu, aby zaśmiewać się do rozpuku z humoru sytuacyjnego dwóch klownów. Na pewno słyszycie je co dzień w radio, w B.B.C. Light Program. To one tak głośno klaszczą przy każdym dowcipie. Choć pracują nie lekko, są konduktorkami w autobusach i ślęczą po fabrykach — mają piękne cery, puszyste włosy, smukłe nogi i wesołe oczy. Kochają kino, taniec, czekoladę i wrotki, stoją cierpliwie w ogonku przed kinem (w którym zresztą tak samo skromnie stoi na końcu sir Alexander, jak nasz rodak Kowalski z Foxley Camp) i gdyby nie ten ich angielski szeroki uśmiech i obcy szczebiot, byłyby to nasze stare znajome — dziewczęta z Nowolipek.

T. NOWAKOWSKI

Wystawa Henryka Gotliba

„Kiedy idziesz ulicami miasta, spotykasz domy które milczą, czasami domy, które mówią, lecz najczęściej są te, które śpiewają" (Paul Valéry). To samo powiedzieć można o obrazach. Do kategorii tych najrzadszych, śpiewających obrazów należą prace Henryka Gotliba (galeria Roland, Browse & Delbanco). Śpiewają mocną, czystą symfonią koloru.

Na pierwszy rzut oka wydawać się może, że malarstwo Gotliba przypomina Bonnarda. Lecz podobieństwo to jest tylko pozorne. Może pewne zestawienia barw, sposób kładzenia farby nasuwają to przypomnienie. Gotlib jest bardziej zmysłowy, bardziej żywiołowy — Bonnard ma większy dystans i bardziej intelektualny stosunek do natury. Poza tym konstrukcja obrazu Bonnarda jest inna, raczej płaska, podczas gdy Gotlib rzeźbi w kolorze i buduje kolorem.

HENRYK GOTLIB — Wenus z Walii

Jego pejzaże są przestrzenne i pełne powietrza, jego kobiety żyją, jakkolwiek ciała ich są materią czysto malarską. Kolor Gotliba jest gorący, soczysty i lekki. Wibrujący i naświetlony. Jeżeli zdarzają się pewne niedociągnięcia w kompozycji obrazu, to harmonia barw uzupełnia i pokrywa te braki. Żywiołowość kolorystyczna Gotliba jest jak gdyby instynktem, którego wybujałość reguluje głęboka świadomość i kultura artystyczna malarza. Kultura ta sięga korzeniami do Renesansu włockiego, do Tycjana i Giorgone, przechodzi przez impresjonizm i post-impresjonizm francuski (Renoir i Bonnard), wreszcie krystalizuje się — dzięki indywidualizmowi i talentowi artysty — w określoną i skończoną już formę.

Postacie, pejzaże, martwe natury Gotliba utkane są z jednej i tej samej materii malarskiej, promieniują własnym gorącym światłem, żyją w swej odrębnej atmosferze, w swoim własnym radosnym świecie. Trudno opisać lekkość i naświetlenie „Dwóch sióstr" czy „Kobiety z kotem", soczystość zielonych winogron na czerwonej draperii, czy wilgotną przezroczystość „Pejzażu z Rye".

Nie łatwo przejść z tego śpiewającego świata gorących barw: wspaniałych kobiet i dojrzałych owoców, do chłodu szarej ulicy londyńskiej i milczących domów.

* * *

Nie można powiedzieć, by wystawa nowoczesnej sztuki indyjskiej (India House, Aldwych) była dobrze zorganizowana. Obrazy są fatalnie porozwieszane, źle oprawione i mam wrażenie, że — jak to zwykle bywa na wystawach reprezentacyjnych — nie wybrano najlepszych i najciekawszych eksponatów. Wygląda to prawie jak bric à brac, gdzie wszystkie„o jest po troszku„ gdzie tandeta sąsiaduje często z prawdziwą wartością.

Te prawdziwe wartości trzeba dopiero wyszukiwać. A więc znaleźć można drzeworyty czarno-białe i kolorowe — doskonałe, pełne wdzięku i świeżości. Podobno — według przedmowy katalogu — technika ta była do niedawna zupełnie nieznana w Indiach. Może dlatego artysta z wrodzoną kulturą plastyczną, nie obciążony tradycją, w zetknięciu się z nowym materiałem zdobywa się na zupełnie świeżą koncepcję. „Walczące psy" Bhattacharya i „Kobieta w pasiatym sari" Madhukor mają wdzięk i jedność rysunków z waz etruskich. Prześliczne są też dwa drzeworyty barwne: zielono-różowy i zielono-żółty Biyar Sindha i Mammata Kumar. Bardzo ciekawe są dwie kompozycje Dżamina Roy: „Madonna" i „Ukrzyżowanie", w których artysta wyraźnie czerpie z tradycji ludowej. Kompozycja jest zupełnie płaska, postacie konwencjonalne, jak na freskach egipskich, z profilu. Czarna, gruba kreska konturu i czystość barw dają złudzenie witrażu.

Olejnych prac jest niewiele, przeważają gwasze i tempera. Piękna jest „Głowa kobiety" Amindra Nath Tagore. Rabindranath Tagore, bratanek wielkiego pisarza, wychowanek uniwersytetów amerykańskich, który miał podobno duży wpływ na nowoczesne malarstwo hinduskie, nie pokazał nic specjalnie ciekawego. Przyjemny w kolorze jest obrazek Bendrel, który jest znów pod wyraźnym urokiem impresjonistów francuskich. W ogóle wpływy — perskie, chińskie, europejskie — krzyżują się tu bez ograniczeń i wyboru. Najciekawsze bodaj są rysunki i malowidła dzieci. Spotyka się w tym zakresie niesłychanie ciekawe kompozycje i b. oryginalne ujęcia malarskie.

Zarówno w pracach dzieci, jak i dorosłych, przebija prastara i głęboka kultura artystyczna tego kraju oraz niezwykłe wprost poczucie koloru, i dlatego wystawa, pomimo wielu braków, jest ogromnie interesująca.

* * *

Zupełnym natomiast rozczarowaniem była dla mnie wystawa rzeźb Epsteina, artysty, o którym w Anglii dużo się mówi i pisze. Przede wszystkim poziom jego prac jest b. nierówny. Głowy jego są jak gdyby przerysowane, zbyt ekspresjonistyczne. Forma nieciekawa. Najbardziej interesujące są małe figurki z brązu, jak „Adam i Ewa" lub „Narcyz", gdzie artysta wykracza poza naturalizm i zaczyna eksperymentować. W tym kierunku wydaje się wieść tego bądź co bądź poważnego artystę jego twórczy temperament.

Alicja D.

WIEDZA I POSTĘP

Energia i jej przejawy

dolność do wykonania pewnej pracy nazywamy energią. Energia w tym znaczeniu jest pojęciem jednorodnym, chociaż jej form może być bardzo wiele. Spotykamy się z pojęciem energii mechanicznej (n.p. ruch pojazdu), cieplnej (wzrost temperatury w kotle), elektrycznej (uderzenie pioruna), chemicznej (powstawanie lub rozpad związków chemicznych). Każda z tych form energii może być w stanie potencjalnym, lub kinetycznym. Mówimy, że ciało posiada energię potencjalną, jeżeli znajduje się w takim stanie lub położeniu, że może wykonać pewną pracę; n.p. woda w zbiorniku, para wodna w kotle, różnica potencjałów elektrycznych między chmurami lub na okładzinkach kondensatora, węgiel i inne pierwiastki. Energia, wykonująca już pracę, jest w stanie kinetycznym; n.p. woda obracająca koło, gazy poruszające tłok silnika, piorun między chmurami.

Do pomiaru energii służą te same jednostki, co i do pomiaru pracy. W fizyce jednostką energii jest erg, w technice dżaul (joule), lub kilowatgodzina (Kwh).

Erg jest jednostką bardzo maleńką, n.p. praca przy podniesieniu masy 1 gr o 1 cm równa się 981 ergom.

Dżaul jest 10 milionów razy większy od erga, a kilowatgodzina jest równoznaczna 3,600,000 dżaulom na sekundę.

Kiedy ustalano w ubiegłym wieku samo pojęcie energii, ustalono jednocześnie trzy zasady do niej się odnoszące, a mianowicie:

1. Energia nigdy nie może być stworzona,
2. Ilość energii przy przetwarzaniu jej z jednego rodzaju na drugi jest zawsze jednakowa — i
3. Całkowita suma wszystkich rodzajów energii we wszechświecie jest stała.

Według dzisiejszego stanu wiedzy, żadna z tych zasad nie obowiązuje, a co ważniejsze są one bez znaczenia. W roku 1905 Einstein, wypracowując swą teorię względności, otrzymał szereg prostych równań wyrażających istotę świata przyrody. Wywróciły one całkowicie dotychczasowy pogląd na zagadnienie energii. Jedno z tych równań przepowiadało, że masa może być zamieniona na energię i odwrotnie: energia może przejść w masę. Wywołało to początkowo liczne sprzeciwy fizyków klasycznych. Jednak późniejsze badania fizyki atomowej potwierdziły całkowicie słuszność wywodów Einsteina. Równanie jego, zwane równaniem równoważności masy - energii podaje, że przy zamianie masy na energię otrzymamy:

$E = mc^2$,

gdzie E — ilość energii,

m — ilość masy,

c = 30,000,000,000 cm/s — szybkość światła.

Dzisiaj więc można wyrazić, że każda ilość masy jest równoważna odpowiedniej ilości energii. Inaczej, **że masa jest niczym innym jak tylko jedną z przejawionych form energii.**

Zapytajmy się, dla ilustracji, jakiej ilości energii jest równoważny 1 gr masy dowolnego ciała (masa nie zależy od rodzaju ciała).

Z równania Einsteina otrzymamy:

E = m.c.c. = 1 × 30,000,000,000 × 30,000,000,000 = 900,000,000,000,000,000,000 ergów.

Ponieważ 1 dżaul ma 10,000,000 ergów, wobec tego

E = 90,000,000,000,000 dżaulów.

Jak wiadomo 1 Kwh jest równoważny 3,600,000 dżaulów, wobec tego 1 gr masy przy zamianie na energię daje:

E = 25,000,000 Kwh.

Dla wytworzenia takiej ilości energii w ciągu jednej godziny potrzebna jest moc zainstalowanych generatorów elektrycznych 25,000,000 kilowatów. Dla porównania można podać, że ogólna moc zainstalowanych generatorów we wszystkich elektrowniach Stanów Zjednoczonych w 1939 r. wynosiła około 17,000,000 kw.

Dla porównania z energią równoważną jednemu gramowi masy można podać ilość energii otrzymywaną ze spalania 1 gr ciała o największej wartości opałowej, jakim jest jednoatomowy wodór. Ze spalenia 1 gr. jednoatomowego wodoru otrzymujemy energię równą około 0,135 Kwh t.j. około 185,000,000 razy mniej, niż przy zamianie całej masy 1 gr wodoru na energię.

Odkrycia więc fizyki atomowej popchnęły życie ludzkości w zupełnie inne warunki.

Porównywalne wielkości ujarzmionych przez człowieka energii, wyrażone liczbą 185,000,000, są miarą zachodzących zmian. Do niedawna nikt nawet marzyć nie mógł o wyzyskaniu energii przedstawiającej się naszym zmysłom w formie materii. Dzisiaj rzecz ta została zrealizowana. Wprawdzie został odsłonięty zaledwie rąbek tej wielkiej tajemnicy przyrody, ale w każdym razie człowiek umie już zamieniać masę w energię i energię w masę. Największe ilości energii, jakie udało mu się wyzwolić z materii, to procesy energetyczne zachodzące w bombie uranowej.

Procesy odwrotne: zamiany energii na materię, odbywają się w wielkich „przetwórniach istniejących pierwiastków lub wytwórniach zupełnie nie istniejących w naturze pierwiastków". Energie, jakie do tych celów są używane, są nieproporcjonalnie mniejsze niż wyzwolone w bombie atomowej, toteż ilości nowych pierwiastków są rzędu zaledwie ułamka miligrama.

Rzeczy ciekawe

ODKRYCIE ZŁÓŻ URANU

Jak podaje prasa, geologowie odkryli złoża uranu w czterech odległych od siebie prowincjach Chin, a mianowicie Kwang-si, południowy Hunan, Kiang-si oraz w Mandżurii. Podobno złoża mandżurskie w basenie węglowym blisko Mukdenu zostały odkryte jeszcze przez Japończyków.

Poza tym pokłady uranu mają znajdować się w północno zachodniej części Sinkiang (chiński Turkiestan), niedaleko granicy rosyjskiej. Wszystkie te informacje należy przyjmować z pewną ostrożnością. Nie wiadomo bowiem, czy są prawdziwe, a jeśli są, to w jakich rozmiarach i jak wysokoprocentowe zawierają rudy.

ELEKTRYFIKACJA KANADY

Przewiduje się budowę wielkich zakładów hydroelektrycznych w Seven Sisters w zachodniej Kanadzie na rzece Winnipeg. Moc zainstalowana około 85,000 kw. Dla porównania: największe w Polsce zakłady hydroelektryczne w Rożnowie będą posiadały moc zainstalowaną 50,000 kw.

ELEKTRYFIKACJA AUSTRALII

Kosztem Ł. 1,000,000 ma być wybudowany szereg zapór wodnych na strumieniach w Quensland. Zbiorniki wody będą wykorzystane jako źródło energii elektrycznej oraz dla nawodnienia obszaru wynoszącego około 41,000 ha.

Poza tym mają powstać dwie zapory wodne. Jedna, największa na południowej półkuli, w odległości około 120 km od Sydnej w przełomie rzeki Warragamba o wysokości 115 m i długości 75 m, druga zaś na rzece Burdekin na pograniczu Quensland i Nowej Południowej Wallii.

HELIKOPTERY W SŁUŻBIE GEOLOGICZNEJ I POCZTOWEJ

Helikoptery, zaopatrzone w wykrywacze magnetyczne, zostały wykorzystane do wykrywania złóż mineralnych w niedostępnych miejscach Kanady.

W stanie New York helikoptery zostały zastosowane do rozwożenia poczty na odległość do 80 km.

BUDOWA HELIKOPTERÓW SIKORSKY'EGO W W. BRYTANII

Wkrótce rozpocznie się budowa helikopterów Sikorsky'ego w Anglii przez firmę Westland Aircraft Ltd. Technicy brytyjscy już wyjechali na praktykę do firmy macierzystej w U.S.A.

PIAT — WYKORZYSTANIE W GÓRNICTWIE

Piat, znany ogólnie miotacz min przeciwczołgowych, znalazł szerokie zastosowanie w górnictwie do rozbijania skał. Oby mu się tam lepiej poszczęściło niż w wojsku.

NOWY TYP ŻARÓWKI

W U.S.A. wyprodukowano nowy typ żarówki z parami rtęci o mocy 1000 w. Daje ona trzykrotnie większą ilość światła niż normalna żarówka oporowa.

PRODUKCJA STALI W R. 1946

W roku 1946 wyproduwano stali:

— w U.S.A. — blisko 60,000,000 ton. Na skutek strajku o 13,000,000 ton mniej niż planowano,

— w Zjednoczonym Królestwie — 12,693,000 ton, podczas gdy w 1938 roku tylko 10,398,000 ton.

Inż. A. Gac

NOWA METODA FOTOGRAFOWANIA

Nowa metoda fotografowania pozwalająca otrzymać gotowe zdjęcie w ciągu 60 sekund

NOWE KSIĄŻKI

JULIUSZ KADEN - BANDROWSKI: La città di mia madre (Miasto mojej matki). Traduzione dal testo polacco e prefazione di ENRICO DAMIANI. II-a edizione riveduta e migliorata. Str. 169+3 nlb. Casa Editrice Lettere. Roma. 1947.

SERGIUSZ PIASECKI: Spojrzę ja w okno... — powieść. Str. 253+3 nlb. Instytut Literacki. Rzym. 1947.

SERGIUSZ PIASECKI: Nikt nie da nam zbawienia... — powieść. Str. 284+4 nlb. Instytut Literacki. Rzym. 1947.

Odpowiedzi redakcji

P. Olgierd K. — Perstorp, Szwecja. — List Pana skierowaliśmy do Institut Polonais d'Etudes en Belgique.

P. Zbigniew S., — Canon Hall Camp. — Wysłaliśmy.

P. Krystyna Celina Ł. — Russee, Niemcy. — List Pani przesłaliśmy Radzie Polonii w Brukseli.

Wystawa dywizyjna w Meppen

Przed zapowiedzianym wyjazdem do **W. Brytanii** 1. Dywizja Pancerna urządziła w Meppen wystawę, która obrazuje jej dzieje od chwili wylądowania na kontynencie.

W sali głównej, reprezentacyjnej, pokazano w rzucie ogólnym przeszłość bojową Dywizji i jej prace pokojową po zakończeniu działań wojennych. Olbrzymia, 12-metrowej długości mapa przedstawia szlak bojów Dywizji. Komentarzem plastycznym do tej mapy są plany, szkice sytuacyjne, fotografie i makiety, obrazujące cztery najbardziej charakterystyczne bitwy stoczone przez Dywizję. Bitwa o Chambois została przedstawiona w szkicach ukazujących kolejno postępy zamykania słynnego „worka". W zobrazowaniu bitwy o Moerdijk wysunięto na pierwszy plan niezwykłe trudności terenu pancernej, spowodowane ukształtowaniem terenu. Bitwę o Küsten-Kanal zobrazowano nie tylko planami i stołem plastycznym, ale i barwnym szkicem perspektywicznym, który ukazuje współdziałanie poszczególnych rodzajów broni.

Stoisko poświęcone współpracy czołgów i piechoty jest przykładem szczęśliwego zgrania czynnika rzeczowego z ujęciem artystycznym. Szkice operacyjne działań zaczepnych, ozdobione świetnymi rysunkami M. Walentynowicza i powiązane ze statystyką strat w ludziach i czołgach, tworzą jak gdyby zarys wykładu taktyki.

Oddzielne stoisko obrazuje się militarną Dywizji, jej środki walki i wyposażenia. Drobny fragment skreśla długość kolumny, jaką tworzyłaby Dywizja w przepisowym marszu: niemal ściśle odległość od Warszawy do Krakowa, 250 km.

Gablota honorowa, zawierająca odznaczenia polskie, angielskie, amerykańskie, francuskie, belgijskie i holenderskie, przy których na metalowych tabliczkach wyryto statystykę odznaczeń nadanych żołnierzom w czasie działań bojowych — stanowi świadectwo szerokiego uznania dla wartości bojowej żołnierza Dywizji.

W tejże reprezentacyjnej sali umieszczono dwa stoiska, poświęcone pokojowej pracy Dywizji. Pierwsze z nich obrazuje szkolnictwo zawodowe i ogólnokształcące, drugie — różnorodne funkcje wojskowe Dywizji w służbie okupacyjnej.

W dwóch barakach rozmieszczono stoiska poszczególnych oddziałów a także Teatru Kukiełek, Sekcji Filmowej itp. Statystyki opracowane zostały w sposób niejednokrotnie ogromnie pomysłowy i stanowią przykład artystycznego ujęcia tego najmniej widocznego materiału.

Główny akcent Wystawy stanowi gipsowy odlew Nike Chambois — fragmentu pomnika ku czci żołnierzy 1. Dywizji Pancernej, poległych w bitwie pod Chambois i na innych pobojowiskach Normandii. Projekt pomnika, autorstwa architekt. St. Niczewskiego i rzeźbiarza St. Repety, wybrany został w drodze konkursu. Postać Nike będzie umieszczona na pierwszym planie na tle dwóch potężnych 30-metrowych wieżyc.

Wystawa jest nie tylko hołdem złożonym przeszłości, ale i zapowiedzią przyszłości żołnierzy Dywizji, którzy bogaci w doświadczenia, wyniesione z pól bitewnych, z podniesionym czołem stanąć mogą u nowego etapu swej drogi.

JEDWAB DO POLSKI
Odcinek jedwabiu spadochronowego wystarcza na szycie ich bluzek lub 2ch kombinacji kobiecych
Cena Ł. 1. 10. 0.
FEDERATED SUPPLIES
(dawniej G. Bucknall & Co)
14 York Street — London W. 1.

Aleksander Janta
PODSŁUCH (5)
Opowiadanie

Ogarnęło go rozczarowanie, żal, potem nagle wściekłość. Jak to, więc już skończona jego rola informatora? Jego ważność i wartość człowieka, który wie co się dzieje, który co noc łączy się z Londynem — zwierza przyjaciołom, sprzymierzeńcom francuskim, te największe sekrety wojny, jakie jemu jednemu szeptano i stamtąd do ucha?

Wzruszenie podcięło mu nogi. Poczuł słabość w kolanach, naprężenie prysło, została pustka. W piersi bijo niespokojne serce. Jeszcze raz namacał ręką skrzynkę, powtórzył gest włączania prądu, sprawdził sznury — tak jak człowiek, który zgubiwszy portfel po raz wtóry i trzeci i ciągle przeszukuje kieszenie, chociaż już straci nadzieję. Nic. Ani śladu życia w aparacie. Przypomniał sobie, z rozrzewnieniem nieledwie, że jeszcze przedwczoraj dochodził z tej skrzynki głos polski, że przez to pudło, dziś głuche, docierał do jego uszu świergot brzmień równie drażniących jak tajemniczych, z których już teraz niechybnie wyłuskiwał potrzebne mu słowa zachęty, przyjaźni, nowin. „Dobry wieczór państwu. Nadajemy z Londynu..." — gdzie się to wszystko podziało, gdzie przepadło? Nic, tylko przejmująca cisza, tyle, że obcy szum wody za oknem toczył się równo, tyle, że wiatr ciągnął przestrzenią od lasu i gór. Poczuł się zgubiony, złamany. To znowu zepchnięcie w przepaść. Znowu klęska, podobna do wszystkich przedtem, skazująca na odcięcie, na samotność, na beznadziejne czekanie.

Trwał tak długą chwilę, zamyślony. Przeżuwał zawód, przywykał. Ale rozpierało mu piersi zbuntowanie. Dziś, do! na pewno szła tam przez radio pierwsza wiadomość o odwrocie Niemców. Tej nocy musiał dokonać się przełom. I ten potworny pech — nie móc o tym usłyszeć, nie móc doczekać się potwierdzenia. Puścił wodze myślom. Widzi jak Jutro Szukowski zbliży się do niego, niby niechcący, ale z utłuszczą, z pewnością zapytaj, że może liczyć na Kazika. I zapyta jak zawsze: — Co tam nowego?

A Kazik co mu odpowie? Że to już koniec słuchania? Że już nie będzie odtąd dostarczał wiadomości, bo radio popsute? Pomyśli może, że sam popsuł, że bo się chodzić tam mocą. Nie, to niepodobieństwo. We Francuzach od razu opadnie duch, przestaną się buntować, poddadzą się rezygnacji. Nie niekną. Jak ciężko myśleć o tym, jak nieznośnie wspominać!

Wyobraźnia jednak ponosi. Podpowiada wizje szybkiego końca wojny, szybkiego zwycięstwa Polski i Rosji i Anglii. Tylko on, nieborak, nie o tym wiedzieć nie będzie. Jakie podłe uczucie. Chce mu się płakać ze złości, z upokorzenia.

Ale otrząsnął się. Wyskoczył z biura przez okno, wyszedł z powrotem w noc, pobiegł pod wiatr. Chciał wrócić do swojej komórki, ale nagle uświadomił sobie, że nie zaśnie. Natłoczne myśli, obrazów, przypuszczeń rozsadzało mu głowę. Miałby ochotę krzyczeć.

Wlókł do lasu. Przez mroczne jego obszary szedł, nie wiadomo dokąd, kołysany szumem drzew, wielkim oddechem obszaru. Była ciemna lipcowa noc, bór pachniał grzybami, żywie zielenią pełnego lata. Żywioł przyrody działa, upaja, pobudza. Daje złudzenie wolności. Daje poczucie siły. Wyzwala młodość w mięśniach, we krwi, w zdobywczym czuciu świata i otoczenia. Szatom jest myśl, która się kłębi w głowie Kazika. Nie potrzeba mu odtąd głośnika ni instrumentu — przez ten szum lasu, przez tętno krwi co tera huczy w skroniach, słyszy fale idące stamtąd. Te fale niosą głos prawdy, już wyzwolony z przeszkód, już bezpośrednio bijący prosto w niego, już jasny, wyraźny zrozumiały.

* * *

Z wypiekami na twarzy, z gorączką w oczach czekał Kazik na Szukowskiego. Spotkali się w warsztacie, raz i drugi, ale nie było czasu na rozmowę. Szukowski tylko przechodząc mrugał porozumiewawczo, dawał znać, że jest ciekaw nowin. Na tym znaku trzeba było poprzestać. Pod wieczór zdarzyła się okazja. Kazik umyślnie opóźnił wyjście z komór, gdzie składali z Jasiem deski, widział, że Szukowski kręci się w pobliżu, uśmiechnął się do jeńców, którzy z nim razem wtaczali właśnie potężny kloc jodły na wózek i mając go przenieść do pił, zatrzymali się, ocierając pot z czoła. Upał dziś był nieznośny, żadnego wiatru. Nocą będzie z pewnością burza. Rozejrzał się Szukowski dokoła, koledzy, których zagadał poprzednio, popchnęli wózek ku piłom, kto by się tam spostrzegł przez tych parę chwil, że Chou-Chou wszedł do komory z deskami?

— Uważaj Jasiek, czy kto nie idzie — powiedział do Jasia Kazik.

— Słuchałeś? — zagadał pośpiesznie Szukowski, stając pod ścianą. W komorze panował półmrok, nie mógł dostrzec wyrazu twarzy Kazika.

Kazik przeżywał w tej chwili ostatni akt walki wewnętrznej i niepewności: co odpowiedzieć?

— Słuchałem — rzucił. Było to jak skok w zimną wodę, bez możności cofnięcia. Stało się. I zaraz zaczął mówić szybko, nerwowo, tak jak nigdy dotąd nie mówił: — Moskal już bije Niemców, a z Moskalami Polacy, A Anglicy bomby rzucają na miasta niemieckie. Szwabów tyle wybili na wschodzie, że aż strach, takie chytre te Ruski, takie uparte. Zapędzili się Niemcy daleko, to ich teraz piorą, jak chcą.

Szukowskiemu skoczyło serce. Więc tak? A to ci dopiero nowina. Zastanowienie przez chwilę tylko działa niczem hamulec. Z niedowierzaniem, z ostrożnością przyjął te słowa. Czy aby nie za dużo tego dobrego naraz? Ale Kazik już się rozpędził, już teraz mówił bez miary i bez wahania to wszystko, czego w nim dusza pragnęła, co chciał wypowiedzieć, to wszystko czego spodziewał się dotąd i czego dotąd nie mógł usłyszeć. Aż zaparły Szukowskiego te słowa.

— Hej! — zatrzymał go nagle — czy to w ogóle możliwe? Co ty opowiadasz!

Kazik czuł, że poszedł za daleko. Ale zdziwienie Szukowskiego podrażniło jego ambicję. O odwrocie nie myśli. O cofnięciu się nie może być mowy. Trzeba go przepoić własną pewnością, siłą i niezawodną. Trzeba mu ją narzucić. Zatarła się już na dobre granica między prawdą i wyobraźnią. Wszystko, co czuje, jest równie mocne i równie ważne, jak to co wie, a czego nie słyszał jeszcze.

Odparował zamach wątpliwości, żachnął się: — Jakto, nie wierzysz? Londyn to mówi i ty nie wierzysz?

— No bo to trudno po prostu przywyknąć, takie to nagłe, takie niebywałe — tłumaczył się Szukowski, ustępując.

— A widzisz? Mnie się samemu tak zdaje. Ale to prawda. — Kazik zaperzył się najpierw, ale teraz nalegał prawie błagalnie. — Ty przecież wiesz! Niemcy wojny nie mogą wygrać.

Jaś nagle ostrzegawczo cmoknął przy drzwiach. Przechodzili Niemcy przez warsztat. Za ich plecami wybiegł chyłkiem z komory Kazik do swej roboty, a w chwilę potem wymknął się z niej Szukowski, idąc niby niedbale, w stronę kolegów, jeńców.

* * *

To był więc sygnał, który rozsadził niecierpliwość jeńców, już napiętą do najwyższych granic. Czekali na taki znak, spodziewali się go głuchym, polskórnym czuciem od dawna, a kiedy teraz przyniósł go wreszcie Chou-Chou — przeżyli niby wstrząs. I zaraz znalazło się więcej ochotników do pójścia z Mauricem.

— Trzeba ustalić kolejkę. To byłoby czyste wariactwo, gdyby wszyscy uciekali od razu.

— Nic, tylko minę wachmana chciałbym zobaczyć, kiedy się spostrzeże, że nas nie ma.

Plan był gotowy. Wystudiowali już precyzyjnie obyczaje ich anioła-stróża, który co wieczór, przed zamknięciem kwatery, pozwalał jeńcom przez pół godziny przebywać na dworze, poza ogrodzeniem z kolczastych drutów, na placu między barakiem i warsztatami. Sam siadywał na ławce pod drzewem, z karabinem opartym o ławkę, mając przed sobą plac, jeńców i barak w zasięgu nie tylko wzroku, ale i strzału, gdyby było trzeba. Powtarzała się ta scena co wieczór w pogodne dni, to też wachman rozglądał się wokoło okiem nie tyle pilnym, ile znudzonym. Nieraz w głębi ducha zastanawiał się nad możliwością ucieczki jeńców. Zdejmował go na tę myśl zimny strach. Utrata tej wygodnej posady, niezależności, jaka od śmierci rotmistrza zdawała mu się zupełna pozycji, jaką z racji blisko rocznego pobytu wyrobił sobie w tartaku — to wszystko byłoby zagrożone. Ale potem przesunął w myśli wszystkie przedsięwzięte a zgodne z instrukcjami środki ostrożności i zestawiał z nimi szanse jeńców. Ile razy wypadało mu robić ten rachunek prawdopodobieństwa ich ucieczki, tyle krotnie dochodził do wniosku: nie mogą uciec. Za dnia pilnują ich wszyscy w tartaku, chociaż odpowiedzialność za to pilnowanie jest w rękach majstrów raczej, niż jego; za to nocą, przeliczywszy dokładnie czy wszyscy są w kwaterze, gdy ich raz zamknie, może być pewny, że żaden się nie wymknie. Sprawdzał nieraz, czy drutów lub sztab nie piłują, czy śladu jakichś zamiarów ucieczki nie zostawiają, ale nie spostrzegł się dotąd, aby kmili coś podejrzanego. I w tym poczuciu nowo nabytej pewności, zaufany upałem dnia, zamknął oczy.

Jeńcy już znali te jego krótkie zapadanie w sen. Budził się z nich nagle, spoglądał na zegarek i wykrzykiwał pośpiesznie: Alles schlafen.

Niektórzy słuchali od razu, inni ociągali się, zganiał ich pół dobrotliwie, pół groźnie, wchodził potem na kwaterę, rzucał okiem badawczym do wnętrza, a wyszedłszy liczył buty i spodnie, które musieli wystawiać z zewnątrz, dziesięć par butów i dziesięć sztuk spodni, które stanowiły dla niego najwymowniejszy dowód, że wszyscy są na miejscu. Pilnował bowiem według instrukcji, żeby każdy miał tylko po jednej parze butów w kwaterze i jedne spodnie; zapasowe ubrania trzymał osobno w szafce wbudowanej w ścianę i zamykanej na klucz. Gdyby nawet jeńcy, wyłamawszy drzwi w izbie, dostali się do tej szafki, to i tak wyjście z kwatery było dla nich nie możliwe — drzwi zewnętrzne i okna ze sztabami żelaza strzegły tego wyjścia równie dobrze, jak ogrodzenie z drutów kolczastych. Musiałby zresztą ich słyszeć, mieszkał tuż obok, w przybudówce do baraku, po drugiej stronie.

Ale jeńcy dawno dopasowali klucz do szafy z rzeczami. Miał tam kilka par zapasowych butów, poustawianych na dolnej półce, reszta przeszrzsani zawłona była płaszczami i wandurami, czekającymi zimy. Na łata wystarczyły niebieskie spodnie i bluzy. Zdejmował je do gry w piłkę, przed pójściem spać, przez te cenne wieczornego wytchnienia pod okiem wachmana.

Nie kleiła się dzisiaj zabawa. Nieznacznie, chociaż nerwowo, obserwowali wachmana. Dziś dokonują ucieczki. Kiwnęli sobie głowami, Szukowski i Louis pilnowali z dala, czy wachman naprawdę śpi. Mieli zagwizdać „Madelon", gdyby się nagle obudził, Maurice, Jacques i Emil oderwali się od nich, odsunęli się niby nieznacznie, zniknęli za barakiem. Zastanieci nim od wzroku wachmana — gdyby nawet przebudził się z drzemki, oglądając się pilnie, czy nikt nie widzi, skoczyli w las.

W tym samym czasie Jean otworzył z klucza szafę w sieni, wyjął trzy pary zapasowych butów — ustawił je w szeregu razem z pozostałymi, aby był komplet dziesięciu, kiedy przeliczy je wachman. Uciekający zostawili spodnie, poszli w spodniach gimnastycznych, ubrania znajdą później, nocą, przygotowane już naprzód. Na kwaterze łóżka nieobecnych poddane były już przedtem osobnym przygotowaniom. Derki wypchane słomą, papierem, albo szmatami — pozorowały kształt ludzki. Poduszki ułożono przemyślnie, że niby zakrywały głowy leżących. Próbowali tego systemu kilka tygodni naprzód — wiedziano dzięki temu, jak ma być ułożona każda fałda, aby dla przechodzącego wachmana nie było wątpliwości, że jeńcy już śpią w swoich betach. Emil schował się nawet któregoś dnia pod własne łóżko, posłane tym sposobem na próbę, czy też wachman zauważy podstęp? Zauważył, owszem, ale nie podstęp, tylko fakt właśnie, że Emil już śpi. — Emil schon Bett? — powiedział, tonem zdziwienia. Zdrowo uśmiali się jeńcy za plecami wachmana.

Teraz wachman przebudził się z drzemki i począł ich zaraz zaganiać do spania. Udawali beztroskie rozgadanie, ale posłuchali od razu. Rozebrali się w mig i do łóżek. Trzy były puste, pozornie, tylko ludzki kształt pod wypchanymi derkami. Wachman czekał przy drzwiach, niedbale oparty o słup ogrodzenia, zajęty własnym myśleniem. Kiedy wszedł do izby, rozmowy jeńców, przyciszone skupieniem, znów przeszły w głośną, bezsensowną gadaninę, aby odwrócić jego uwagę. Czuli się podnieceni, napięci przeżywaniem decydujących chwil, udając opowiadanie. Szukowski kręcił się jeszcze po izbie w gaciach. Wachman rzucił okiem po łóżkach, nic niezwykłego nie zauważył, przeliczył stojących za progiem dziesięć par butów, dziesięć sztuk spodni wisiało na kołkach w sieni, bąknął: — Gutenacht — i zatrzasnął drzwi. Słuchali, jak starannie przekręcał klucze w zamkach, zakładał sztaby, zatrzaskiwał kłódki. Poszedł. Nie zauważył nieobecności trzech jeńców. Będą sobie głowę łamać jutro wachman i majstrowie i kontrolni, nie zrozumieją nigdy, co się stało.

Jeńcy z samego przejęcia ani myśleli spać. Jak się też uda kolegom? Polak miał rzeczy i żywność przygotować dla nich w tobołku i wsunąć go dziś wieczorem, kiedy się tylko ściemni, między stos desek obok warsztatu. Nocą po to przyjdzie Maurice. Było wachman nie zauważył ich zniknięcia zamykając kwaterę, tylko już żadne ryzyko. Wywiesili na druty w oknie białe kalesony, niby suszą się po praniu. Z daleka, od lasu je widać, był to znak dla kolegów, że wszystko w porządku. Noc zanosiła się jasna, bo po ciemku nic nie zobaczą. A przecież łasami właśnie pociągną przez parę dni, sądząc po mapie, ściągniętej z biurka rotmistrza krótko po jego śmierci. Kazik to zrobił.

— Żeby nie ten twój Polak — mówił Louis — to nie wiem jakby uciekli.

— A w rozwiście sprycierz nie byle jaki — podchwycił Chou-Chou.

Rozmyślali, co to będzie jutro.

— Nie wiem nawet, czy się tak bardzo przejmą zniknięciem paru jeńców — komentował Louis, leżąc nad miejscem, gdzie przedtem sypiał Maurice. — Mają inne, gorsze zmartwienia.

Uczyniło im się nagle puste, ciążyła każdej myśli ta nieobecność kolegów i los ich i straszne ryzyko.

— Mają na karku pierwsze klęski, to im trudno myśleć o szukaniu zbiegów — pocieszał się, także w imieniu tamtych, Jean.

— Pytanie tylko, czy im o klęskach powie Obercommando? — zauważył, przewracając się niespokojnie, Chou-Chou.

* * *

— Aufstehen! — wrzeszczał wachman na drugi dzień zza przepierzenia desek i bombardował je pięścią.

Ponsiadali na łóżkach. Czy to wszystko naprawdę się stało? Nieruchomo wypchane derki na trzech pustych łóżkach w świetle dziennym wyglądały inaczej, niżli wieczorem — jak wypłowiała charakteryzacja, na którą nikt się już nie da nabrać. Zdecydowali od razu, że lepiej łóżka zasłać przyzwoicie — niech go od razu zaskoczą pustką po zbiegłych jeńcach.

Uśmiechnął się do siebie nerwowo w przeczuciu awantury.

Wachman dobierał się kluczami do kłódek, do zamków, nieskończenie długo otwierał najpierw zewnętrzne drzwi, potem drzwi izby — wreszcie wszedł do niej i od razu zwęszył, że coś tu nie jest w porządku. Rozejrzał się bacznie po ludziach, ubierali się jeszcze, łóżka nie były zasłane, z wyjątkiem tych trzech łóżek pustych, odsłaniających od razu prawdę w sposób prowokacyjny, prosty aż do przesady.

— Was ist?

Jeńcy wzruszali ramionami. Żaden tego pytania nie brał do siebie, jeszcze niezupełnie pojął się wachman, jakie są wymiary katastrofy, którą zaczynał czuć, ale już był na tropie, już mu skóra cierpła, już zbladł. I tylko nie chciał dopuścić tej myśli, że nie doliczy się jeńców.

— Wo Emil? — zaczął, wołać na chybił trafił — Wo Louis? Wo Jean?

Obecni odpowiadali niedbale i szybko. Zaczynali już znowu gadać między sobą, trzeba było przerwać napięcie milczenia, jakie nagle zapadło.

— Alles antreten — zawołał teraz Niemiec, zdjęty panicznym strachem. Poczłapali boso i ustawili się w rzędzie pod ścianą, nie wszyscy byli jeszcze ubrani. Wyjął notes i zaczął wołać nazwiska jedno po drugim. Na trzy z nich nie było odpowiedzi. Zapanowała krępująca cisza. Trwała chwilę, wachman trzymał

W perspektywie tygodnia: Nowa polityka amerykańska

(p) Mowa Prezydenta Trumana na posiedzeniu łącznych Izb Kongresu Stanów Zjednoczonych w dniu 12 marca jest wydarzeniem, którego następstwa w rozwoju światowej sytuacji politycznej będą prawdopodobnie ujawniać się stopniowo i to nie tylko w układzie stosunków na obszarze wschodnio - śródziemnomorskim. Wszystko wskazuje, że mowy tej nie należy traktować jako posunięcie taktyczne, obliczone na wywołanie doraźnego efektu, lecz jako zapoczątkowanie nowej polityki Stanów Zjednoczonych, głównego mocarstwa światowego. W toku niejawnego posiedzenia komisji spraw zagranicznych Izby Reprezentantów, ministrowie: wojny p. Patterson, marynarki p. Forestal oraz urzędujący sekretarz Stanu p. Acheson, udzielili wyjaśnień co do okoliczności, które stanowiły tło mowy Prezydenta. Wyjaśnienia te jednak nie były przeznaczone dla szerokiej publiczności, która dowie się o nich zapewnie wówczas, gdy nowa polityka amerykańska wejdzie w fazę praktycznego zastosowania.

Wedle wszelkich przewidywań gen. Marshall zamierza doprowadzić do zawarcia, pod auspicjami St. Zjednoczonych, sojuszu pomiędzy trzema państwami śródziemnomorskimi: Turcją, Grecją i Włochami. Przewiduje się rozciągnięcie pomocy amerykańskiej na inne kraje europejskie, jak Austria i Węgry, których niezależność jest zagrożona przez nacisk sowiecki. Istnieje również podobno projekt udzielenia 600 milionowej pożyczki Korei, która jest jednym z obszarów starcia pływów amerykańskich i sowieckich.

Londynski „The People" przytacza opinię „dobrze poinformowanego" wojskowego pisma amerykańskiego „Army and Navy Journal", który pisze: „Propozycja Prezydenta oznacza interweniowanie wszędzie na rzecz wolności". Tenże tygodnik londyński zaopatruje tę wiadomość następującym komentarzem: „Wszystko wskazuje, że amerykańska oferta dla Grecji i Turcji rozpoczęła światową walkę pomiędzy Rosją i Ameryką o bazy strategiczne".

W Londynie o mowie prezydenta Trumana

(p) Reakcja prasy brytyjskiej w ciągu pierwszych dni po przemówieniu prezydenta Trumana była, rzec można, przychylnie wstrzemięźliwa i odpowiadała w ogólnych zarysach „pośredniej" taktyce, stosowanej od pewnego czasu przez dyplomację W. Brytanii. Bardzo miarodajny sprawozdawca dyplomatyczny „Times'a" pisał, iż mowę prezydenta Trumana przyjęto w Londynie „z uznaniem i zadowoleniem, jak również z pełnym docenieniem wielkiej zmiany, którą może ona wnieść do polityki amerykańskiej". Jednak nie bez pewnych zastrzeżeń — bo chociaż „ogólne zamierzenia Prezydenta w odniesieniu do pomocy dla Grecji i Turcji były w zarysach znane w Londynie, ale szeroki zasięg i mocna stylizacja mowy były w pewnym stopniu niespodzianką". Słowem — pomoc Stanów Zjednoczonych w umocnieniu wspólnych już pozycji śródziemnomorskich jest mile widziana (oczekiwano jej zresztą od dawna), jednak w szerokim starciu politycznym pomiędzy Ameryką i ZSRR — W. Brytania pragnie uniknąć wysuwania się zbyt daleko naprzód. Stąd też — wydaje się — pewien niepokój, wyrażony w czołowych artykułach organu stronnictwa rządowego „Daily Herralda", który pisał, iż W. Brytania „sercem i duszą winna przyłożyć się do wzmocnienia ONZ i do równoległego zadania pośredniczenia między Ameryką i Rosją".

W tymże dzienniku p. Michael Foot proponuje miedzynarodową kontrolę Dardaneli i Suezu oraz układ między wielkimi mocarstwami w sprawie nafty — przyznając zresztą, że winę za powstałe stosunki na Śr. Wschodzie ponoszą Sowiety i dodając, że wielki pucz sowiecki na Śr. Wschodzie skończył się jak dotychczas całkowitym fiaskiem".

„Times" w artykule następnym stwierdził, że mowa prezydenta Trumana zmusza „ludzi i narodu na wszystkich kontynentach do zastanowienia się nad podstawową przebudową w stosunkach międzynarodowych i do ponownego zbadania podstaw bezpieczeństwa światowego", oczywiście na podstawie „bardziej decydującego uznania odpowiedzialności Ameryki na wielu obszarach zarówno w Europie jak i w Azji" aniżeli w okresie 1918 — 1941. Obecnie powstaje pytanie czy nie powinna wystarczyć Organizacja Narodów Zjednoczonych. Ale przecież — przypomina „Times" — oświadczenie p. Gromyki w dn. 5. marca wydaje się zamykać drzwi przed wszelką nadzieją na istotną międzynarodową kontrolę energii atomowej. A to było poważnym wstrząsem dla opinii amerykańskiej. „Times" wzywa Amerykę do rozszerzenia zasięgu pomocy amerykańskiej dla krajów biednych zwłaszcza w Europie Środkowej (bo bieda prowadzi do komunizmu), wypowiada pewne zastrzeżenia co do skłonności w polityce amerykańskiej do działania na własną rękę i wyraża nadzieję, że wyjaśnieniem mowy prezydenta Trumana będzie określenie zakresu interesów amerykańskich, co pociągnie za sobą odprężenie w stosunkach międzynarodowych.

„The Observer" przypomina przy tej sposobności, że dotychczasowa taktyka „cierpliwości" ze strony Stanów Zjednoczonych nie dała oczekiwanych wyników, gdyż „po każdym rosyjskim odwrocie dyplomatycznym następowała nowa polityczna ofensywa ze strony komunizmu". Przykładami ze świeżej przeszłości są: polskie wybory i sprawa węgierska. A oto warunki dobrego pożycia, sformułowane przez Scrutatora w tygodniku „The Sunday Times":

„Jeżeli Rosja rzeczywiście chce być z nami w przyjaźni, tak jak z pewnością my chcemy być z nią w przyjaźni, oto cztery rzeczy, które powinna zrobić: zaprzestać kampanii przeciwko Grecji i Turcji, wypełnić swe obietnice co do swobodnych wyborów w Polsce, Rumunii i Bułgarii, zaprzestać prześladowań politycznych na Węgrzech i wycofać to, co w rzeczywistości jest vetem założonym przez p. Gromykę przeciwko umiędzynarodowieniu bomby atomowej". Ba!

Scrutator pisze zawsze otwarcie i bez ogródek. Ogólnie jednak brytyjski punkt widzenia został zdaje się dość trafnie ujęty w następujących słowach wyjętych z artykułu w „The New Statesman and Nation":

„Naród brytyjski musi zająć pozycję nie do pozazdroszczenia pomiędzy dwoma wielkimi mocarstwami, czerpiąc zachętę z faktu, że ani rosyjska, ani amerykańska polityka nie jest niezmienna i że wojna pomiędzy nimi jest wysoce nieprawdopodobna w ciągu najbliższych dziesięciu lat".

Turcja w świetle przesilenia

(o) Po przemówieniu prezydenta Trumana z dnia 12 bm., w którym zapowiedziane zostało udzielenie pomocy jednocześnie Grecji i Turcji, przygotowania do jej urzeczywistnienia prowadzone są w szybkim tempie. Sporządzony został już projekt specjalnych pełnomocnictw dla prezydenta Trumana i zarys programu tej pomocy, które w niespełna tydzień po przemówieniu znalazły się w rękach członków Kongresu. Czyni się wszelkie starania, aby odnośna ustawa uchwalona została jeszcze przed dniem 31 marca b.r., t.j. przed terminem ustania pomocy brytyjskiej dla Grecji. W projekcie przewidziano nawet taki tryb, który umożliwiałby wypłacenie Grecji i Turcji zaliczkowo pewnych sum na poczet przewidzianej pomocy przez „Urząd Odbudowy i Finansów" jeszcze w ciągu samej dyskusji nad właściwą ustawą. W kołach senatu zaczęto wysuwać kandydaturę b. prezydenta Hoovera na stanowisko dyrektora pomocy dla Grecji i Turcji. Jednocześnie Departament Stanu ujawnił, że amb. Lincoln Mac Veagh z Aten i amb. Edvin Wilson z Ankary zostali natychmiast wezwani do Waszyngtonu. Przystąpiono więc do załatwienia tej sprawy w tempie iście amerykańskim.

Z tymi wiadomościami zbiegło się doniesienie amerykańskiego Departamentu Marynarki, że w połowie kwietnia b.r. przybędzie na wody morza Śródziemnego amerykańska flotylla z lotniskowcem „Leyte" na czele. W skład tej flotylli wchodzą trzy krążowniki: „Providence", „Portsmouth" i „Dayton", sześć kontrtorpedowców i kilka innych okrętów pomocniczych. Okręty te odwiedzić mają szereg portów morza Śródziemnego między innymi Pireus i Stambuł oraz przepłynąć przez Cieśniny Dardanelskie. Z kół urzędowych nie omieszkano jednak zaznaczyć od razu, że ta podróż ćwiczebna planowana była już przed dwoma miesiącami, a zatem nie pozostaje w związku z ostatnio wytworzoną sytuacją w Grecji.

Istotnie wystarczy cofnąć się pamięcią o rok wstecz, aby przekonać się, że tego rodzaju wizyta okrętów marynarki amerykańskiej nie jest bez precedensu. Wystarczy przypomnieć sobie podróż pancernika „Missouri", na którego pokładzie przewieziono do Stambułu zwłoki zmarłego w Ameryce poprzedniego ambasadora tureckiego.

Przed paru dniami jeden z przedstawicieli grupy posłów Labour Party zbliżonych do tego tygodnika, p. Crossman, zapewniał w Izbie Gmin, że nie istnieje niebezpieczeństwo wojny... w ciągu sześciu lub siedmiu lat. Niebezpieczeństwo to — jego zdaniem — zjawi się wówczas, gdy Rosja będzie miała bombę atomową. Różnica w przewidywaniach — jak widać — nie przekracza czterech lat.

„Chicago Tribune" po mowie prezydenta Trumana pisała, że wojna jest „nieunikniona". Nie potrafimy ocenić, czy i które z tych proroctw mają szanse urzeczywistnienia. Są one jednak bezsprzecznie „signum temporis".

Wówczas również obecność okrętu amerykańskiego zbiegła się z momentem silnego naprężenia w stosunkach turecko - rosyjskich, wywołanego przez nagłe wysunięcie przez ZSRR żądania rewizji umów dotyczących Cieśnin Dardanelskich, czemu towarzyszyło żądanie ustanowienia baz rosyjsko - tureckich w Bosforze oraz oderwania od Turcji trzech wschodnich wilajetów: Kars, Ardachan i Artwin.

Od tego czasu stosunki turecko - rosyjskie przechodziły szereg okresów raz wzrastającego, to znowu słabnącego napięcia, niemniej bezpośrednie naciski Rosji na Turcję nie ustawały. Tak n.p. uszedł na ogół uwadze powszechnej fakt, który zdarzył się przed kilku miesiącami, a o którym doniósł niedawno korespondent „New York Herald Tribune" Alsop. Mianowicie w rejonie Karsu wdarła się do Turcji, na pewno nie bez zgody władz sowieckich — jak przypuszcza korespondent — grupa 200 Ormian bądź celem wypróbowania reakcji władz tureckich, bądź też dla wywołania powstania.

Reakcja turecka wypadła niedwuznacznie. Ormian tych bowiem wybito niemal do nogi. Prasa sowiecka wypadek ten przemilczała, natomiast sowieckie władze zwróciły się do Turków o wydanie rodzinom różnych przedmiotów osobistych znalezionych przy zabitych, co też Turcy zrobili. Korespondent dodaje, że tego rodzaju „opukiwań" pogranicza tureckiego było więcej, choć przeważnie na mniejszą skalę. Towarzyszył im ciągły nacisk psychologiczny na Turcję przez prasę i radio sowieckie, niewycofywanie żądań terytorialnych, podsycanie pretensyj Syrii do Aleksandretty oraz stałe osadzanie na pograniczu tureckim Ormian z Bliskiego Wschodu.

Grożącemu z tej strony niebezpieczeństwu Turcja starała się przeciwstawić utrzymując — jak podaje Alsop — armię liczącą 600 do 700 tysięcy żołnierza, więc kilkakrotnie większą niż stać na to w normalnych warunkach naród 20 milionowy. Według zdania Turków w razie konfliktu z Rosją opór tej armii trwałby co najwyżej 6 miesięcy, ale są rzeczoznawcy, którzy obliczają go na conajwyżej 4 do 6 tygodni. Wobec najwidoczniej pogarszającej się sytuacji niektórzy Turcy wypowiadać się zaczęli wręcz za zdemobilizowaniem połowy armii i za wyszkoleniem reszty w wojnie partyzanckiej. Niemniej przeważała nadal opinia za utrzymaniem dotychczasowych sił w obawie, że Rosja uznałaby demobilizację za dowód słabości Turcji, a naród turecki doznałby poderwania swego „morale".

Jeśli uwzględni się obecne trudności gospodarcze Turcji, które są znaczne, m.in. rosnące widmo inflacji, to okazuje się, że pomoc amerykańska przydatności istotnie w momencie dość krytycznym dla Turcji. Prezydent Truman mówił wręcz o „fatalnej godzinie", w której jeśli pomoc zawiedzie, to będzie miało to duży wpływ zarówno na „Zachodzie jak i na Wschodzie". Różni przedstawiciele Kongresu Amerykańskiego w rozprawach na temat pomocy dla Turcji i Grecji stawiali kropkę nad „i" zaznaczając wyraźnie, że chodzi tu „o zatrzymanie pochodu komunizmu na Zachód", oraz że jeśli Kongres, w którym jest faktyczna większość republikańska, odmówi współdziałania z prezydentem w jego dążeniu do zahamowania postępów komunizmu na Środkowym Wschodzie, to „zniknie ostatnia nadzieja zorganizowania kiedykolwiek pokoju".

Rzecz jasna, że cała ta akcja amerykańska znalazła jak najgorsze przyjęcie w Moskwie. Dał temu wyraz artykuł „Izwiestii" poświęcony oświadczeniu prezydenta Trumana. Autor artykułu niepomny postępowania rządu sowieckiego wystąpił z niewczesnym zarzutem, że cała akcja prezydenta Trumana jest mieszaniem się w sprawy wewnętrzne innych państw, że stanowi przykład przestarzałych metod kolonizacyjnych, które skazane są na niepowodzenie, że Ameryka dąży do zawładnięcia Turcją, że zatem ta akcja zagraża całości Turcji, która nie będzie mogła prowadzić niezależnej polityki wewnętrznej i zagranicznej itd. itd. Całą tę sofistykę demaskuje jednak wniosek końcowy „Izwiestii", że w każdym razie akcja amerykańska nie zagraża bynajmniej obradom konferencji moskiewskiej, z czego można wnosić, iż rozgrywkę w sprawie Turcji Sowiety jeszcze raz odkładają sobie na później.

Z HUMORU BELGIJSKIEGO

Na konferencję moskiewską. „Teatr budowy, czyli sen Stalina".

(„La Libre Belgique")

W Moskwie

(p) Oczywiście największe zainteresowanie budzi reakcja Moskwy na mowę prezydenta Trumana oraz następstwa, jakie mieć ona może na przebieg moskiewskiej konferencji. Pierwszy artykuł „Izwiestii", jakkolwiek polemiczny, wykazywał raczej dążenia do nie alarmowania czytelników; natomiast zgodnie z ostatnio wykreśloną linią propagandową zajął się dowodzeniem, że Stany Zjednoczone rozszerzają swój stan posiadania kosztem zubożałej W. Brytanii. Przemówienie prezydenta Trumana podała prasa sowiecka niemal w całości, opuszczono jednak to, co p. Truman mówił na temat dwu przeciwstawnych „sposobów życia" — demokratycznego i totalitarnego. Zresztą radio waszyngtońskie nadało przemówienie również w tłumaczeniu rosyjskim.

Konferencja moskiewska zaczęła się od „niespodzianek". Jakkolwiek tematem jej miały być Niemcy i Austria — p. Mołotow zaproponował rozmowę o... Chinach. W odpowiedzi gen. Marshall przypomniał o sprawie wojsk sojuszniczych w krajach nie - nieprzyjacielskich (t.j. przede wszystkim wojsk sowieckich w Środkowej i Wschodniej Europie). P. Bevin wysunął sprawę zlikwidowania Prus i na to zgodzili się wszyscy. Natomiast o Chinach chyba mówić się nie będzie wobec tego, że zarówno p. Marshall jak p. Bevin niechętnie odnoszą się do tej propozycji — w nieobecności przedstawiciela rządu chińskiego, który zresztą założył już formalny sprzeciw.

W następnych dniach poświęcono wiele czasu oskarżeniom ze strony p. Mołotowa, który zarzucał mocarstwom anglosaskim, że nie wykonują zobowiązań odnoszących się do rozbiórki fabryk niemieckich, że w strefie brytyjskiej utrzymuje się niemieckie oddziały wojskowe, a byli hitlerowcy zajmują odpowiedzialne stanowiska. Oskarżenia te wywołały odpowiedź p. Bevina, który prostując twierdzenia p. Mołotowa wymienił ze swej strony szereg nazwisk działaczy hitlerowskich zatrudnionych przez Rosjan na odpowiedzialnych stanowiskach.

Wynikiem było ogłoszenie danych co do ilości niemieckich jeńców wojennych znajdujących się obecnie w krajach sojuszniczych. Gen. Marshall wyjaśnił, że 117 fabryk zbrojeniowych w strefie amerykańskiej już rozebrano, pozostałe będą rozebrane w ciągu najbliższych miesięcy. Co do innych fabryk z kategorii „zabronionych", to los ich uzależniony jest od załatwienia sprawy odszkodowań i spełnienia przez Sowiety zaciągniętego w Poczdamie zobowiązania do traktowania Niemiec jako gospodarczej całości. Gen. Marshall podał również do wiadomości zasady „demokratyzacji", które winny być — jego zdaniem — na całym obszarze Niemiec (a więc zwłaszcza w strefie sowieckiej) przestrzegane.

Rozważano następnie zagadnienie uchodźców. P. Bidault wyraził niepokój Francji wobec przeludnienia obszaru Niemiec w porównaniu z jej sąsiadami obawiając się nowych zakusów na „Lebensraum". P. Bevin zapowiedział, że dopóki nie będzie zbadana sprawa rozładowania najbardziej przeludnionej strefy brytyjskiej, dopóty nie będą władze brytyjskie przyjmować obywateli niemieckich z poza tej strefy. W strefie brytyjskiej jest jeszcze 230 tys. uchodźców z krajów sojuszniczych, w tym 111 tys. Polaków, którzy wracać do Polski nie chcą i których rząd brytyjski nie będzie zmuszał do powrotu.

Najbardziej optymistycznie nastrojeni komentatorzy nie przewidują, aby na konferencji moskiewskiej zdołano przygotować projekt traktatu pokojowego.

Czy znowu „Volk ohne Raum"

(t) Pewną sensację wywołało na konferencji w Moskwie przemówienie francuskiego ministra spraw zagranicznych, który zwrócił uwagę na gęste zaludnienie Niemiec jako na fakt, który może być źródłem przyszłej ich napastliwości. Według spisu z października 1946 — oświadczył Bidault — ludność niemiecka liczyła 66 milionów mieszkańców, tzn. gęstość jej wynosiła 185 mieszkańców na km. kwadr., o 40 więcej, niż przed wojną. Kraje graniczące z Niemcami jak np. Francja liczy 40 i pół miliona mieszkańców, tzn. 75 na km. kwadr. a Polska 24 miliony tzn. 62 na km. kwadr.

Ale to nie wszystko! P. Bidault stwierdził, że 4 i pół miliona Niemców przeniesionych zostało do Niemiec z Polski, Czechosłowacji i Węgier na podstawie układu w Poczdamie. Według tych układów jeszcze dwa miliony Niemców powinne być przeniesione do Niemiec z wymienionych krajów, do czego jeszcze dochodzi 2 miliony jeńców, którzy kiedyś powrócą.

Minister Bidault oblicza, że w ten sposób ludność Niemiec liczyć będzie 70 milionów tzn. 196 mieszkańców na km. kwadr., a więc o 60 więcej, niż przed wojną. Nie są w tym obliczeniu objęci Niemcy, którzy uszli do innych krajów, a zwłaszcza do Danii i którzy jeszcze nie wrócili.

Minister Bidault upatruje w tym ogromne niebezpieczeństwo i zaproponował wskutek tego powzięcie czterech postanowień:

1. Żadne nowe przesiedlenie ludności niemieckiej nie może mieć miejsca poza układami już powziętymi.

2. Wstrzymanie przesiedleń już zdecydowanych w wykonaniu układów w Poczdamie, które dopiero są w ciągu urzeczywistniania.

3. Zakaz wszelkiego osadzania się ostatecznego na ziemi niemieckiej uchodźców (D. P.), którzy się tam obecnie znajdują, oraz przyspieszenie przesiedlenia i osadzenia poza Niemcami tych osób.

4. Organizację wychodźstwa niemieckiego, przy czym Francja gotowa jest przyjąć część tego wychodźstwa.

Powyższe propozycje z punktu widzenia polskiego budzą szereg wątpliwości. Słusznie wskazywano już na to, że chociażby Belgia i Holandia mają wyższą liczbę zaludnienia na km. kwadr. niż Niemcy, a nigdy nie były źródłem niepokoju dla państw ościennych. Przede wszystkim jednak, jak na to zwrócono uwagę w niektórych zagranicznych organach prasowych, tezy ministra Bidault mogą być łatwo wyzyskane dla wystąpienia przeciwko granicom polskim na Odrze i Nysie. Poniekąd dzieje się to już teraz, skoro p. Bidault chce zatrzymać mieszkających jeszcze poza obecnymi niemieckimi ziemiami Niemców w krajach im odebranych, aczkolwiek powinien wiedzieć, że Niemcy ci będą, tak jak byli przed wojną, po prostu piątą kolumną niemieckiej napastliwości. Jest rzeczą oczywiście Francji, czy u siebie taką piątą kolumnę chce osadzić. Gotowość przyjęcia wychodźstwa niemieckiego we Francji wynika najwyraźniej z bardzo złego położenia demograficznego Francji, które to zjawisko występuje już nie od dzisiaj.

P. Bidault nie liczy się jednak z jedną rzeczą: już przed wojną rozpoczął się w Niemczech proces cofania się przyrostu ludności i to do tego stopnia, że właściwie cała polityka hitlerowska nastawiona była na przeciwdziałanie temu procesowi. Odniosła ona pewne wyniki. Dzisiaj jednak po klęsce nie ulega najmniejszej wątpliwości, że proces ten rozpocznie się w sposób przyspieszony. Nie mamy najmniejszego powodu mu przeciwdziałać. A do tego właśnie zmierzają propozycje p. Bidault. Już przed wojną i przed powstaniem partii hitlerowskiej istniały w Niemczech teorie, które wykazywały konieczność stłoczenia narodów sąsiednich w jak najmniejszych obszarach, ażeby doprowadzić do ich zaniku. Hitlerowcy program ten podjęli, dołączając do niego znacznie prostszy sposób mordowania ludności.

Czyż jest dzisiaj zadaniem sąsiadów Niemiec, których one biologicznie podczas wojny w najwyższej mierze osłabiły, ażeby martwić się obecnym położeniem Niemiec, które one same zawiniły? W dzisiejszych warunkach rzekome przeludnienie Niemiec raczej wywoła i przyspieszy cofanie się liczby ludności w Niemczech, co właśnie na dalszą metę zapewni bezpieczeństwo Francji. A na tyle energii państwa ościenne potrafią się chyba zdobyć, ażeby w początkowym okresie, zanim wyniki staną się bardziej widoczne, powstrzymać Niemców od ponownych napadów. Podjęły je one przecież wtedy, gdy gęstość ich zaludnienia była znacznie mniejsza. Nie ona zresztą była przyczyną wywołania wojny przez Niemców, a właśnie obawa przed rozpoczynającym się cofaniem ludności, do czego przy sposobności powrócimy. Nie można dopuścić do tego, ażeby właśnie dzisiaj, po zwycięskiej wojnie, pozwolić się bałamucić niemieckim hasłem „Volk ohne Raum".

Węgierska „demonstracja"

(p) Po odrzuceniu amerykańsko - brytyjskiego protestu w związku z aresztowaniem Kovacs'a przez władze sowieckie i mieszaniem się władz sowieckich do wewnętrznych spraw węgierskich (po zawarciu pokoju z Węgrami), rzeczy idą dalej przewidywanym torem. Gdy p. Puszkin, przedstawiciel rządu sowieckiego, powrócił z Moskwy, nastąpiły dalsze aresztowania, a oddziały sowieckie z Austrii pomaszerowały do Węgier. Ministrowie: obrony, finansów, informacji i odbudowy i członkowie Stronnictwa Drobnych Posiadaczy — otrzymali dymisję, a pięciu posłów Stronnictwa Drobnych Posiadaczy wyrzucono z Partii.

Dalsze żądania zmierzają do wyraźnego odrzucenia przez rząd węgierski protestu amerykańsko - brytyjskiego (odrzuconego dotychczas tylko przez miejscowe władze sowieckie) oraz do ... rozwiązania parlamentu i przeprowadzenia nowych wyborów (ostatnie wybory były rzeczywiście swobodne, a teraz przychodzi kara).

Podobno premier Nagy ma nadzieję, że uda mu się przebłagać sowieckich protektorów ze względu na starania o pożyczkę amerykańską. Znowu ten wuj Sam...

SPRAWY POLSKIE

Skandal na Mazurach

Informacja Prasowa donosi: „Pastor szwedzki Sven Hellqvist pisze w „Svenska Dagbladet": Na Mazurach wsie i miasta są wyludnione. Młodych mężczyzn nie widzi się zupełnie. Tysiące ludzi pozbawionych jest ubrania i pościeli. Jeszcze w grudniu dzieci chodziły boso i na pół nago. Od kilku miesięcy ludność żywi się jedynie ziemniakami. Większość cierpi na owrzodzenie i różne choroby skórne skutkiem głodu. W wielu wioskach dzieci nie widziały nigdy mleka. Jeżeli nie nadejdzie szybka pomoc, nastanie na wiosnę katastrofalny głód".

Informacja Prasowa pisze na ten temat: „Szwedzi interesują się Mazurami, ponieważ są oni przeważnie protestantami. Obok nędzy i głodu, panują tam ciężkie warunki polityczne. Rząd warszawski wydaje ludności t.zw. karty mazurskie, które w przyszłości mają być podstawą do uzyskania obywatelstwa polskiego. Tymczasem policja polityczna przeprowadza „czystkę", a metody przy tym stosowane nie wróżą nic dobrego. Stanowiska publiczne obsadzane są komunistami, co budzi nieufność ludności do władz warszawskich".

W związku z powyższą wiadomością i uwagami Informacji Prasowej przytaczamy dokument zupełnie niepodejrzany o stronniczość, i to w streszczeniu wychodzącego w Polsce w Bydgoszczy „Ilustrowanego Kuriera Polskiego" z dnia 18 sierpnia 1946 r. Jak się okazuje z artykułu w „Svenska Dagbladet" sprawozdanie Polskiego Związku Zachodniego, zamieszczone w „Ilustrowanym Kurierze Polskim" nie straciło nic na aktualności. Ale oto co pisał dosłownie „Ilustrowany Kurier Polski" pod tytułem „Wstrząsająca tragedia":

„Na łamach naszego pisma często donosiliśmy o skandalicznych warunkach, w jakich żyją autochtoni na Warmii i Mazurach. W świetle jednak piętnastostronicowego dokumentu, wydanego obecnie przez tak poważną i zasłużoną organizację, jaką jest Polski Związek Zachodni, wszystkie nasze oskarżenia i alarmy okazują się jeno bladym odblaskiem rzeczywistości na ziemiach północnych Polski. Ten dopiero dokument, sporządzony na podstawie stwierdzeń i obserwacji pięcioosobowej specjalnej ekipy objazdowej Polskiego Związku Zachodniego z zasłużonym działaczem mazurskim G. Leydingem na czele, odsłania całą gehennę tego ludu polskiego, obnaża potworną tragedię, którą nawet w naszej bogatej w tragedię historii nie ma sobie równej".

„Nie chcemy być gołosłowni i nie chcemy się również narazić na zarzut przesady w ocenie warunków, jakie zapanowały na Mazurach. Dlatego będziemy się trzymali ściśle dokumentu opracowanego z największą starannością przez ludzi o wysokim poczuciu odpowiedzialności, przez znawców terenu swojej działalności, przez Polaków, którym w pracy przyświeca wyłącznie dobro Polski i troska o Polaków.

„Z obfitego materiału informacyjnego, zawartego we wspomnianym dokumencie Polskiego Zw. Zach., a którego nie sposób wyczerpać w krótkim z konieczności streszczeniu, podajemy tylko kilka bynajmniej nie najjaskrawszych fragmentów.

„Dokument nazywa to, co się dzieje, orgią. Tak liczne, tak nagminne są wypadki prześladowań, szykan, wyzysku i rabunku, na jakie stale narażona jest ludność autochtoniczna. Zmieniło się coprawda ostatnio niejedno na lepsze, stan nieprawości niestety na tym terenie trwa nadal. Można jedynie powiedzieć, że punkt kulminacyjny tej orgii, sądząc z podanych dat, jest już za nami. Niemniej jednak ludność mazurska żyje nadal w strachu, gdyż terror fizyczny i moralny nie został jeszcze opanowany, żyje w nędzy, gdyż odebrane Mazurom mienie nie zostało im zwrócone.

„Raport ekipy Polskiego Zw. Zachodn. stwierdza, że nikt z t.zw. „niedeklarowanych" czyli tych, którzy wniosków weryfikacyjnych dotąd nie złożyli, nie zdecyduje się na wniesienie o nadanie mu obywatelstwa polskiego dopóki trwać będzie obecny stan rzeczy. Na pytanie, dlaczego ludność tubylcza, z dziada pradziada polska, ociąga się ze składaniem wniosków weryfikacyjnych, otrzymuje się zazwyczaj odpowiedź: „Przecież ci zapisani na Polaków nie są w lepszym położeniu niż my!" — co jest niestety prawdą.

„Akcja uświadamiająca, wszczęta ostatnio na większą skalę, nie mogła dać pożądanych wyników, ponieważ czynniki miejscowe nie tylko nie poparły jej bardziej przekonywującymi argumentami, lecz wręcz przeciwnie tolerowały bezprawia i same brały w nich udział, nie robiąc między tubylcami żadnych różnic. Zasłużonych działaczy mazurskich, prześladowanych przez hitlerowców, i b. abonentów patriotycznej „Gazety Olsztyńskiej", szykanowanych przez władze pruskie i organizacje hitlerowskie, traktowano na równi z Niemcami.

„Na gruncie samowoli, bezkarności i braku dyscypliny służbowej zapanowały czynsze nieomal murzyńsko - plantatorskie, graniczące z pojęciem niewolnictwa. Osadnik, który samowolnie wziął w posiadanie należące do Polaka - tubylca gospodarstwo i ograbił przy tym doszczętnie, korzysta następnie z jego pracy, wymuszając ją po prostu za liche pożywienie. Trzeba nareszcie zmusić takich szkodników nie tylko do poszanowania prawa, ale i pouczyć ich, że nie oni są powołani do wyrokowania, kto jest Polakiem, a kto Niemcem.

„Wykorzystując prawie za darmo cudzą pracę, „dziki" osadnik stara się uniemożliwić swojemu wyrobnikowi złożenie wniosku o weryfikację, nie pozwoli mu po prostu zadokumentować swej polskości w obawie utraty nie tylko niewolnika, ale i gospodarstwa.

„W tych warunkach Polacy miejscowi, już zweryfikowani, straciwszy wszelką nadzieję na naprawienie krzywd im wyrządzonych, wędrują na Zachód razem z Niemcami. Sprawozdanie, z którego czerpiemy te materiały, stwierdza znaczny ubytek już zweryfikowanych Mazurów.

„Nie mogąc gospodarować na własnej ziemi, ludność mazurska znajduje się w skrajnej nędzy. Karty żywnościowe II kategorii otrzymuje stosunkowo od niedawna tylko nieznaczną część tych biedaków. Zdarzają się wypadki, że karty te trafiają do ich rąk z wyciętymi kuponami na chleb. Mazurzy są stale pomijani przy rozdziale odzieży oraz koni i krów z UNRRA. Bierze się ich do robót przymusowych na równi z Niemcami bez względu na wiek i stan zdrowia.

„Proces normalizacyjny odbywa się z dręczącą powolnością, napotyka na liczne opory i na obojętny, a w wielu wypadkach niechętny lub wręcz wrogi stosunek czynników odpowiedzialnych za ten stan rzeczy. Proces ten trzeba przyśpieszyć.

„Zarządzenia władz państwowych muszą być wykonywane przez wszystkie bez wyjątku lokalne placówki administracyjne oraz lokalne władze bezpieczeństwa. Wymaga tego najwyższy interes publiczny. Nikt bowiem nie podpisze wniosku o weryfikację, dopóki w położeniu tubylców nie nastąpi gruntowna poprawa. Należy ścigać z miejsca w sposób jak najbardziej stanowczy i konsekwentny wszelkie objawy gwałtu, bezprawia nadużyć władz i samowoli. Trzeba roztoczyć troskliwą opiekę nad ludnością mazurską, niezależnie od tego, czy jest ona zweryfikowana czy nie. Zdaniem autorów memoriału jest to pierwszy warunek uzdrowienia istniejących na Mazurach niezdrowych warunków.

„Dokument zawiera poza tym szereg postulatów pod adresem władz centralnych, od zrealizowania których zależy przyszłość ziem północnych Polski".

„Wymowa dokumentu Polskiego Zw. Zachodniego jest tak straszna, tak wstrząsająca do głębi ogromem zbrodni wobec Narodu i Państwa, że każdy komentarz z naszej strony osłabiłby jedynie wrażenie, jakie dokument ten wywołuje".

Tyle artykuł „Ilustrowanego Kuriera Polskiego". Nie mamy tu nic do dodania, jak chyba to, że napewno nie w ten sposób umocni się polskość na ziemiach odzyskanych.

Co p. Cyrankiewicz przywiózł z Moskwy?

P. Cyrankiewicz i p. Minc po powrocie z Moskwy wyrazili na konferencji prasowej w Warszawie zadowolenie z wyników tej wizyty. Pożyczka w złocie, której udzielić ma rząd sowiecki, wyniesie około 29 milionów dolarów płatna po latach 13, oprocentowanie 1 3/4. Żadne specjalne warunki nie są jakoby przywiązane do tej pożyczki. Obiecano odesłać żołnierzy Armii Krajowej, aresztowanych i wywiezionych do Rosji w roku 1944. Ma również powrócić do kraju „pewna ilość oficerów, co do których sądzono, że zostali zamordowani w Katyniu, ale znaleźli się w Rosji". Byłaby to radosna wiadomość, gdyby nie to, że chodzi tylko o „pewną ilość" — nie wiadomo jaką. Jest to zresztą o tyle dziwne, że przecież ze strony propagandy sowieckiej zawsze wysuwano twierdzenie, że oficerów tych zamordowali Niemcy. Skądże by znowu wzięli się teraz w Rosji? Wszystko wymaga dalszych i bardziej wyczerpujących wyjaśnień.

Przypuszczamy, iż Moskwa nie mniej jest zadowolona z udzielenia pożyczki rządowi warszawskiemu, aniżeli ten ostatni z jej otrzymania. Są bowiem dwa rodzaje pożyczek: finansowe, na których się zarabia, i do których często przywiązane są pewne warunki i polityczne, gdzie warunki finansowe nie grają wydatniejszej roli. Z notatki prasowej wynika, że pożyczka udzielona Warszawie należy do tej drugiej kategorii. Czyż potrzeba lepszej zapłaty aniżeli ta, którą protektor sowiecki otrzymuje w postaci sfałszowanych wyborów i całkowitej wierności? Przecież dyplomacja warszawska uchodzi dziś za najdokładniejsze zwierciadło polityki rosyjskiej dorównując w tej dziedzinie chyba tylko Bułgarii. Któż więc tutaj naprawdę jest „zadowolony"?

Zniszczenie materialne w Polsce

„Tägliche Rundschau" oblicza, na podstawie niemieckich statystyk, straty materialne Polski za czasów okupacji niemieckiej. Mimo, że statystyka jest niekompletna i sporządzana tendencyjnie przez Niemców, nie mniej przedstawia obraz straszliwego zniszczenia Polski przez najazd niemiecki.

Według niemieckich obliczeń górnictwo i hutnictwo polskie straciło 375 milionów dolarów przedwojennych w sprzęcie, wywiezionym przez Niemców lub celowo zniszczonym. Przez czas okupacji Niemcy zrabowali towarów w Polsce na 187 milionów w samym przemyśle tekstylnym. 675.000 zabudowań gospodarczych zostało zrównanych z ziemią. Zniszczono również 75% bydła, koni, trzody chlewnej i owiec. Wywieziono 440 milionów centnarów metrycznych zboża i nieprzeliczone ilości drzewa, niszcząc dotkliwie przepiękny drzewostan polski. Wywieziono również lub zniszczono 660 szpitali, 60 sanatoriów, 719 stacji gruźliczych, 700 stacji leczenia chorób wenerycznych, 600 poradni, 520 ośrodków opieki nad matką i dzieckiem. Kompletnie zniszczono 4.880 szkół powszechnych, 270 szkół średnich, wszystkie uniwersytety i politechniki oraz 700 szkół zawodowych. Poza tem zniszczono 3.500 teatrów, kin, muzeów i szkół sztuki. Zniszczono również około 16 milionów książek polskich i starych druków. Skonfiskowano około miliona radioodbiorników. Z taboru kolejowego zabrano lub zniszczono 10.000 wagonów osobowych, 140.000 wagonów towarowych, 4.000 lokomotyw oraz 113 pociągów specjalnych, jak odkażalnie i pociągi szpitalne. Z dróg kolejowych zniszczono 40%. Zniszczono prawie wszystkie statki rzeczne, kutry rybackie, łodzie żaglowe i motorówki. Sz

„WŁAMANIE DO KREMLA"

Nowa książka Tadeusza Norwida

Wśród wydawanych ostatnio książek o Rosji Sowieckiej, można — odrzuciwszy literaturę propagandową i romanse salonowych komunistów — wyraźnie odróżnić dwa typy książek. Pierwszy, kreślonych piórem zagranicznych korespondentów, przeważnie amerykańskich, lub dyplomatów, nie znających często języka ani w dostatecznym stopniu stosunków, ale śmiało za to podchodzących do zagadnień strategicznych i ekonomicznych, jakie w przyszłości mogą mieć rozstrzygający wpływ w konflikcie pomiędzy Stanami Zjednoczonymi (wzgl. całym światem anglosaskim) a Sowietami. Kilka drobnych, a nawet grubszych błędów nie odgrywa decydującej roli. Drugi rodzaj książek o Sowietach to literatura pamiętnikarska, często przechodząca w głębsze studium, której autorzy zostali wywiezieni do Sowietów, ale zdołali się uratować. Psychologicznie jest ona może wyrazistsza i zajmuje się zwykle nie tylko historią deportowanych, ale i życiem — że użyjemy popularnego zwrotu Stalina — „ludzi sowieckich". Nie tych co prawda zza murów Kremla, dygnitarzy cywilnych i wojskowych, o których myśli dyktator, ale prostego człowieka — instrumentu służącego do wykonywania kolejnych pięciolatek, na Syberii i Sachalinie, pod Archangielskiem, czy w Turkiestanie.

Książka Tadeusza Norwida „Włamanie do Kremla" *) która jako trzecia już szwedzka książka tego autora wyszła w ostatnich dniach ubiegłego roku w Stockholmie nakładem energicznej firmy wydawniczej Fredborga, jest ujęciem syntetycznym obydwóch tych kierunków. Autor, jak wspomniałem, nie jest nowicjuszem. Znana w języku szwedzkim, polskim i angielskim jego książka „Kraj bez Quislinga" stała się — jak ustaliła to szwedzka statystyka wydawnicza — najpoczytniejszą książką polityczną w 1944 roku. W 1945 roku Norwid wyjechał jako korespondent wojenny na kontynent. Rezultatem tej podróży były dwie następne książki: „Europa plotkuje" („Europa skvallrar") i wydane ostatnio „Włamanie do Kremla".

Materiałem do tej książki stały się rozmowy autora z licznymi cudzoziemcami którzy w rozmaitych okolicznościach wywiezieni zostali w głąb Rosji. Holendrzy, Francuzi, Belgowie, Duńczycy, Anglicy, wszyscy oni mówili to samo. Ale równocześnie Norwid starannie przestudiował wszelkie, dostępne dziś na zachodzie źródła o Rosji Sowieckiej. Wreszcie sięgnął do materiałów sowieckich, statystyk gospodarczych, prasy (której analiza jest jednym z bardziej oryginalnych i pasjonujących rozdziałów) zarazem przeprowadzając ankietę wśród Rosjan, których kapitulacja Niemiec zostawiła po zachodniej stronie „żelaznej kurtyny".

Mimo to książka jego nie jest zwykłym reportażem politycznym. Zebrany w niej materiał jest tylko tworzywem dla syntezy. Myślą przewodnią Norwida było odpowiedzieć na pytanie: Czym jest właściwie Rosja Sowiecka?

Rozpatruje on to zagadnienie w dwóch zasadniczych płaszczyznach: wewnętrznej pod względem — metod rządzenia w zestawieniu z zasadą wolności jednostki i życia przeciętnego obywatela na tle rzeczywistości sowieckiej oraz zagranicznej z punktu widzenia — przygotowań wojennych Związku Sowieckiego i imperializmu rosyjskiego jako niebezpieczeństwa światowego.

Analiza sposobów działania NKWD dzisiejszego MGB jest gruntowna i trafna. Metody NKWD — MGB wybiera nie tylko z punktu widzenia zwykłej celowości, ale i z uwzględnieniem charakteru narodów, warunków specjalnych i środowiska, starając się, aby osiągnięty wynik stał w pewnej proporcji do użytych środków. Gestapo było nędzną imitacją, zabkującą dziecinnie i brutalną siłą w wielu wypadkach zastępowało brak talentu i doświadczenia. Korpus MGB jest bez wątpienia dziś najlepszym korpusem osobowym w Rosji, nawet pod względem moralności i lojalności wewnętrzno - korporacyjnej. Całą organizację cechuje niezwykła, wyjątkowa zupełnie w stosunkach sowieckich, nieprzekupność. Niemieccy agenci w porównaniu z MGB byli zwykłą zgrają łapowników.

Powiększenie zasięgu sowieckiego władania w Europie rozszerza jednocześnie zakres jurysdykcji MGB i stawia mu nowe zadania — 120 milionów pupilów w centralnej i środkowej Europie czeka na wychowanie ich w duchu marxizmu - stalinizmu. A MGB — NKWD nie ma tyle czasu, co w Rosji przez 30 ostatnich lat, musi działać szybciej, bo wypadki międzynarodowe nie mogą Sowietów zaskoczyć. W pierwszym rzędzie usunąć trzeba tych, co mogliby stać się obrońcami zachodniej demokracji.

Dziesiątki tysięcy mordów politycznych w Jugosławii, Polsce, na Węgrzech jest właśnie wynikiem tak pomyślanej planowej akcji prewencyjnej ze strony MGB. Jeśli za stanowimy się dlaczego w ciągu ubiegłej wojny nigdzie na zapleczu sowieckich armii walczących z Niemcami, na Ukrainie czy na Kaukazie nie doszło do poważniejszych akcji dywersyjnych, to musimy wyjaśnienia tego fenomenu, poza niezręcznością polityczną Niemców wyładowujących swe pierwotne instynkty na „untermenschach" szukać w nie pracował nad powiększeniem sowieckiego potencjału zbrojeniowego.

Analogiczną rolę, jak zbrojenia w zakresie militarnym, odgrywa rozrost wpływów komunistycznych zagranicą. Z punktu widzenia nasycenia nimi poszczególnych krajów, Norwid przeprowadza podział świata na 6 grup, czyli „stopni doskonałości". Komintern przez długi czas spędzał sen z powiek politykom mocarstw zachodnich. Jego oficjalne rozwiązanie w 1943 r. powitano z ulgą. Spośród osób które podpisały uroczysty akt rozwiązania, większość jest dziś ponownie na stanowiskach.

Z polskiego punktu widzenia najbardziej godną uwagi jest analiza znaczenia strategicznego linii Curzona w zestawieniu z linią traktatu Ryskiego. Pokój z 1921 roku oparł granice nasze na południowym wschodzie o

Londyńskie autobusy piętrowe zaczęły krążyć po Warszawie

przewidującym likwidowaniu przez NKWD latami całymi aktywniejszych politycznie jednostek, które mogłyby stać się wrogami ZSRR.

Wyczekiwanie Rokossowskiego pod murami walczącej Warszawy nie było niczym innym, jak taką samą akcją w większym stylu, ulepszoną przy tym, bo wykonywaną rękami Niemców. Za jednym zamachem zlikwidowano patriotyczne gniazdo oporu, które wpływami swymi obejmowało cały kraj.

Życie jednostki w Sowietach omawia autor w rozdziale „Arcydzieło rozbrojenia psychicznego". Do osiągnięcia jego służą dwa środki: coś w rodzaju „dyscypliny znużenia", na które składa się stałe niedożywianie i nadmiar codziennych kłopotów oraz dyscyplina pracy, czyli po prostu ograniczenie wolności osobistej.

A los tych, co walczyli na frontach?

Właściwe granice Związku Sowieckiego zamknięte zostały hermetycznie przed powracającymi żołnierzami kordonami wojsk granicznych MGB — NKWD i wracający zamiast wprost do rodzin, skierowani zostali najpierw do specjalnych obozów przejściowych, gdzie oficerowie polityczno - wychowawczy w ciągu kilku tygodni skutecznie wyleczyli ich nie tylko z wszelkich złudzeń, ale i pozbawili całego bagażu, (jak aparaty radiowe i fotograficzne, rowery itp.), który zebrać zdołali na zachodzie. Niejeden z odznaczonych bohaterów Związku Sowieckiego dowiedział się przy tym o swej rodzinie tyle tylko, że została wywieziona na wschód i jest „gdzieś tam w Azji". Nikt się nim więcej nie interesuje. Może stanąć jedynie do pracy w wyznaczonym mu na nowe miejscu i włączyć się jako jedno narzędzie więcej do wykonywania czwartej „piatiletki". Elementy, które przez pobyt na zachodzie stały się już socjalnie niebezpieczne, lub mogłyby się takimi stać w przyszłości wchłoną spokojnie i cicho obozy koncentracyjne, powiększając o dalsze setki tysięcy 15 milionową liczbę więźniów. Stanowczo, jak w tytule odnośnego rozdziału stwierdza Norwid, „Iwan nie zrobi rewolucji", wprost przeciwnie wraz z innymi zdemobilizowanymi żołnierzami będzie posłuszróg Karpat. Dwa razy w ciągu naszego półwiecza armie rosyjskie forsowały Karpaty, wypełniając w ten sposób zadanie nałożone im przez politykę. Zadanie to było dla nich tak ważne i tak trudne, że w drugiej wojnie światowej nawet luka we froncie niemieckim otworzona przez powstanie warszawskie nie zdołała odwieść sztabu sowieckiego od operacji w kierunku południowym, prowadzącym do ziem i rejonów szczególnie dla Sowietów magnetycznych, w którym Imperium Brytyjskie szczególnie jest zainteresowane. Posiadanie baz za Karpatami dziś już oddało całą Europę naddunajską i bałkańską — z czasowym wyjątkiem Grecji — na łaskę i niełaskę ZSRR. Dlatego też, gdyby polityka sowiecka musiała dokonać wyboru między zaborem Wilna i zaborem Lwowa — zabrałaby raczej zdaniem autora Lwów.

Tymczasem w kołach angielskich i amerykańskich robiono Polakom do ostatka wręcz odwrotne nadzieje. Imperium zamorskie Wielkiej Brytanii nie może istnieć bez istnienia wolnej Europy — ciekawa ta teza mało na ogół zrozumienia miało do niedawna w Londynie mimo, że polityka imperialna i europejska pozostają wobec siebie w stosunku wprost proporcjonalnym. Jeżeli świat chce odróżniać w Europie obszar t.zw. cywilizacji sowieckiej i cywilizacji zachodnio - europejskiej, musi przyjąć, że wschodnia granica Polski, ustalona 26 lat temu w Traktacie Ryskim, była zarazem granicą Europy. Innego wyjścia nie ma.

„Włamanie do Kremla" otrzymało już szereg przychylnych krytyk szwedzkich i coraz bardziej staje się „best seller'em" zimowego sezonu w Stockholmie. Książka Norwida, jak i poprzednie jego prace, przeznaczona jest jednak dla intelektualistów zachodnich, dostosowana do ich sposobu myślenia i umysłowości. Stąd dla Polaków, nieźle na ogół zorientowanych w zagadnieniach sowieckich, może należałoby dokonać pewnych skróceń, ale całość warto stanowczo przetłumaczyć. Stałaby się ona zbiorem doskonale wybranych i skonstruowanych argumentów, zawsze przydatnych w rozmowach z cudzoziemcami.

W. P.

*) Tadeusz Norwid. Inbrott i Kreml. Stockholm. Fredborgs Förlag. Str. 357.

Przegląd gospodarczy

Potęga gospodarcza St. Zjedn.

Uwaga „Observera", że obecnie można mówić tylko o jednym jedynym mocarstwie na świecie, staje się oczywistą prawdą po rozpatrzeniu zamknięć statystycznych (częściowo szacunkowych) Stanów Zjednoczonych za rok ubiegły. Czerpiemy je przeważnie z „The Economist", który okazał się znowu po dwutygodniowej „węglowej" przerwie.

Ilość zatrudnionych (poza rolnictwem) wynosiła w Stanach w 1946 roku 40,6 milionów (w r. 1939 30,9). Z tego w przemyśle 15 (10,1), w transporcie 4,0 (2,9), w handlu 8,2 (6,6) w finansach itd. 5,3 (4,1). A więc załogi przemysłowe wzrosły okrągło o 50%. Rolnictwo miało świetne ceny za płody ziemi i hodowli.

Sekretarz Skarbu John W. Snyder ogłosił tymczasowe zestawienie wydatkowania przez rząd i społeczeństwo:

	1939	1945	1946
	(miliony dolarów)		
Wydatki rządu	16,0	83,6	35,0
Kapitalizacja prywatna	10,0	9,1	32,0
Konsumenci:			
a) trwałe towary	6,4	7,7	14,0
b) nietrwałe	32,6	65,6	77,0
c) usługi	22,7	33,2	36,0
RAZEM:	88,6	199,2	194,0

Rozdzieliwszy wydatki na około 45 milionów zatrudnionych w r. 1939 mieliśmy na zatrudnionego dochód narodowy około 1900 dol. W roku 1946 przy 55 milionach zatrudnionych 3500 dolarów. Zważywszy, że koszty utrzymania wzrosły w porównaniu do r. 1939 tylko o pięćdziesiąt procent, można mieć pojęcie o olbrzymim dobrobycie mas amerykańskich w chwili obecnej.

Jak ta potęga gospodarcza wyraża się wobec świata zewnętrznego?

W przecięciu 1937 — 1939 Stany sprzedawały towaru za 3,2 miliarda, kupowały za 2,45. Różnica na ich dobro z całkowitego bilansu płatniczego wyniosła rocznie 548 milionów i była wyrównywana napływem złota i wartości kapitałowych z zagranicy.

W roku 1946 sprzedały Stany towaru okrągło za 12 miliardów a kupiły tylko za 5 miliardów. Różnica na ich dobro w całkowitym bilansie płatniczym wyniosła 8,15 miliarda dolarów i naturalnie nie mogło być mowy o wyrównaniu tej różnicy przez resztę świata. W złocie i wartościach kapitałowych otrzymały Stany tylko 4,75 miliarda, **a 3,4 miliarda dolarów musiały oddać jako dar bezpłatny innym narodom.**

Nagromadzenie potęgi produkcyjnej jest w Stanach tego rodzaju, że będą one częściowo musiały darowywać swój towar i usługi w dalszym ciągu, podobnie jak, słońce musi promieniować „za darmo" nadmiar swej energii cieplnej.

Tu gospodarstwo łączy się z polityką. Stany zapowiadają przez usta swego prezydenta, że będą obdarowywać te tylko społeczeństwa, które w ich opinii są demokratyczne, kochają jak oni wolność obywatelską i gospodarczą — słowem chcą u siebie wprowadzić ten sam sposób pracy i życia, który Stanom przyniósł tak wiele dóbr materialnych i tak przemożną potęgę polityczną.

Jeśli są — a są — narody jak np. Sowiety i ich przymusowi satelici, które uważają, czy muszą uważać, że ich inne metody gospodarcze są lepsze, to proszę bardzo — mówią Amerykanie — wykazujcie to o własnych siłach. Pomoc amerykańską, z reguły przez instytucje międzynarodowe, miały otrzymywać te społeczeństwa, które opierać się chcą na wolności.

Ponieważ jednak z funcjonowaniem tych międzynarodowych instytucji jest gorzej, prezydent Truman poczuł się zmuszony, na prośbę Anglii, objąć swą opieką bezpośrednią Grecję, prosząc Kongres o wyasygnowanie na ten cel kwoty 400 milionów dolarów. Jak na 7 milionowe społeczeństwo, którego całkowity import w roku 1938 wynosił 131 milionów dolarów, kwota 250 milionów dolarów dla Grecji jest to suma pokaźna.

Turcja, Persja i Węgry są najbliższymi kandydatami do odbioru promieni słońca dolarów amerykańskich.

GŁÓD W SOWIETACH

Zza żelaznej kurtyny sowieckiej dyktatury przedzierają się coraz częściej wiadomości o stanie gospodarczym. Największe wrażenie wywołało w lepiej informowanych pismach angielskich delegowanie Kaganowicza na Ukrainę. Podobnie jak swego czasu Dzierżyńskiego — Kaganowicza wysyła się zawsze na pozycje najbardziej zagrożoną. Obecnie został on na miejsce Chruszewa mianowany sekretarzem Ukraińskiego Politbiura. Według urzędowych oświadczeń, przemysłowa produkcja Ukrainy nie osiągnęła jeszcze połowy przedwojennej (wcale niejasne określenie) a susza sprowadzi głód na przednówku.

Głód nie jest zjawiskiem nowym w Rosji, jakkolwiek za czasów carskich nie obejmował on nigdy Ukrainy. Wyniszczenie głodem ludności, a zwłaszcza ludności ukraińskiej, nie jest samo przez się czynnikiem groźnym dla obecnego reżimu sowieckiego. Natomiast groźnym jest fakt, że zdemobilizowani żołnierze miewają odwagę i umiejętność radzenia sobie w czasie głodu na własną rękę. Ucieczka robotników miejskich na wieś, gdzie można zdobyć jeszcze jakąś żywność, a następnie ukrywanie żywności, kradzenie i rabunki mogą mimo M.W.D. a nawet z jego udziałem, rozstroić cały rządzący aparat Sowietów. Nie byłaby to żadna rewolucja, ale trudny do opanowania stan anarchii.

Na tym tle wydaje się, że mimo wszelkie środki ostrożności, aby pełna prawda nie doszła oczu i uszu obcych, wyznaczenie miejsca spotkania ministrów spraw zagranicznych wielkiej trójki właśnie w Moskwie nie było dla Sowietów pomysłem szczęśliwym.

KRYZYS ANGIELSKI

Sednem gospodarczego, a także politycznego kryzysu w Zj. Królestwie jest i pozostanie sprawa wydajności pracy górnika węglowego.

„The Financial Times" podaje przeciętną roczną wydobycia na członka załogi siedmiu zagłębi węglowych:

1) Północ 228 ton, 2) Pn. Wschód 271 ton, 3) Płd. Walia 193, 4) Środk. Pn. 358 ton, 5) Szkocja 284 ton, 6) Środek 279 ton, 7) Pn. Zachód 220 ton.

Są to wyniki bardzo niskie. Nawet nie 1000 kg. na członka załogi dziennie, podczas gdy my w Polsce, przy mniejszej mechanizacji, niż istnieje obecnie w kopalniach angielskich, wykazywaliśmy wydobycie dzienne (rok 1936) przeszło 1870 kg.

Zestawienie to doprowadza nas do wniosku, że idea werbowania Polaków do istniejących załóg w Anglii nie ma zdrowego sensu gospodarczego. Polacy stając do pracy razem z robotnikami brytyjskimi będą musieli ograniczyć swą wydajność pracy do wydajności towarzyszy. Jedynym rozwiązaniem racjonalnym byłoby, zdaniem moim, wydzierżawienie górnikom polskim z Ruhry kilku angielskich kopalń upaństwowionych na lat 4 z premią za zwiększenie wydobycia. Na takie rozwiązanie sprawy Związki Zawodowe nie dałyby swego zezwolenia, a więc... planowana kwota 200 milionów ton na rok bieżący nie zostanie osiągnięta. Żaden zwerbowany górnik nie odważy się wydobywać więcej niż wydobywają inni.

WYWÓZ ANGIELSKI

Podstawą planowania rządu Partii Pracy jest ilość robotników i energii mechanicznej tj. węgla. Ostatecznym wynikiem ma być zwiększenie wywozu (na wagę nie na Ł.) w porównaniu z r. 1938 o 40% z końcem rb. Celem wywozu jest znów osiągnięcie walut tj. powiedzmy dolarów na konieczne zakupy żywności i surowców za granicą. W związku z tym nader pouczające są zestawienia ogłoszone przez „Financial News" 5 marca br., jak się rozdziela przywóz i wywóz Zjednoczonego Królestwa według walut:

a) **Z obszaru dolarowego** (Kanada i Nowofunlandia, U. S. A., Kuba i San Domingo), sprowadziło Zjednoczone Królestwo towaru za:

Rok 1938 Ł: 205.564 tys.		rok 1946 Ł: 455.993 tys.
z całości przywozu:	22,3%	35,1%

Zjednoczone Królestwo wywiozło do obszaru dolarowego:

Rok 1938 Ł: 54.161 tys.		rok 1946 Ł: 74.367 tys.
w całości wywozu:	10,1%	7,6%

b) **Z krajów o twardej walucie** (Argentyna, Szwecja i Szwajcaria) sprowadziło Zjednoczone Królestwo towaru:

Rok 1938 Ł: 70.389 tys.		rok 1946 Ł: 102.137 tys.
z całości przywozu:	7,6%	7,8%

Zjednoczone Królestwo wywiozło do tych krajów o twardej walucie:

Rok 1938 Ł: 35.004 tys.		rok 1946 Ł: 54.107 tys.
z całości wywozu:	6,5%	5,5%

c) **Z obszaru szterlingowego:**

Rok 1938 Ł: 304.993 tys.		rok 1946 Ł: 451.988 tys.
w całości przywozu:	33,2%	34,9%

Zjednoczone Królestwo wywiozło do krajów szterlingowych:

Rok 1938 Ł: 233.478 tys.		rok 1946 Ł: 465.063 tys.
w całości wywozu:	43,7%	48,2%

d) **Z Europy** (poza Szwecją i Szwajcarią) sprowadzono:

Rok 1938 Ł: 198.248 tys.		rok 1946 Ł: 133.479 tys.
z całości przywozu:	21,6%	10,3%

Zjednoczone Królestwo wywiozło do Europy:

Rok 1938 Ł: 146.332 tys.		rok 1946 Ł: 288.506 tys.
w całości wywozu	27,4%	29,8%

Z zestawienia tego wynika, że w obecnych warunkach gospodarczych politycznych Europa nie ma czym płacić za wywóz angielski i będzie on musiał zaniknąć, o ile polityczne stosunki nie ulegną zmianie.

GIEŁDA W STUDIUM GOSPODARSTWA ŚWIATOWEGO

Na kryzys gospodarczy i polityczny odpowiedziała giełda londyńska zniżką papierów państwowych. Stare „konsole" spadły już poniżej 95. Nie mniejsze zniżki wykazują akcje przemysłowe nawet najlepiej fundowane: takie jak Vickers, Dunlop, Courtold, Austin itd. Brak energii mechanicznej jest sprawą wielce poważną.

W tej sytuacji zabezpieczenie drobnych oszczędności od dewaluacji staje się rzeczą bardzo trudną. Jedyne — moim zdaniem — pewne wskazówki daje gruntowne studium gospodarstwa światowego.

Od dawna już zauważono, że zapasy miedzi Stanów Zjednoczonych są na wyczerpaniu i że Stany będą skłonne znieść cło na miedź (4 centy od funta). Cena miedzi elektrolicznej wynosiła przed wojną Ł: 55 za tonnę, przy kosztach wydobycia i rafinerii około Ł. 47. W roku 1945 cena poszła na Ł. 76 a z początkiem br. w Londynie na Ł. 117. Koszty wydobycia podniosły się nieznacznie

Wobec tego z kilku przyjaciółmi zakupiliśmy niemieckie akcje kopalni miedzi w Rodezji za 30 szylingów sztuka. Mimo ogólnej zniżki na giełdzie i braku węgla na kopalni akcje te poszły już w górę na 37 szylingów w ciągu 6 tygodni, a więc osiągnęliśmy zysk 20%. Nie tak szybko, jak na wyścigach z psami, ale trochę bezpieczniej.

Cena miedzi w Londynie obecnie wynosi Ł. 127, w Nowym Yorku 21,5 centa za funt czyli dol: 430 za tonnę.

St. R.

W Kraju o Monte Cassino

Od dłuższego czasu toczy się w Kraju dyskusja wokół bitwy o Monte Cassino. Ma ona przede wszystkim na celu skompromitowanie 2. Korpusu i jego dowódcy. Tym niemniej wobec przenikania do Kraju wiadomości faktycznych, od czasu do czasu spotkać się możemy i z rzeczową oceną. K.Z. Skierski w art. „Fakty i cyfry — Monte Cassino" („Tydzień", nr. 8) ujmuje dyskusję w takich słowach:

„Podjęta, a nie dokończona jeszcze dyskusja obrony Warszawy, Kutna, Helu i Powstania Warszawskiego — utknęła, a utknęła m.in. dlatego, że zbyt wiele elementów wprowadzono do tej dyskusji: politycznych, strategicznych, moralnych, a nawet propagandowych... Najniepotrzebniej włączono do tego zbiornika argumentów sprawę Monte Cassino, uważając z jednej strony bitwę za dowód sławy oręża polskiego, a z drugiej za niepotrzebne, marnotrawcze „potrząsanie szabelką". Także i ten temat nie został „pracowicie" należycie, nie wyłuskano z niego rzeczy zasadniczych. Tymczasem „sprawa Monte Cassino" wymyka się tematycznie wszystkim dotychczasowym argumentom, będąc zagadnieniem przede wszystkim strategicznym"

Powód do Kraju pewnej grupy żołnierzy 2. Korpusu został wykorzystany do rozszerzania szeptanych „rewelacji" na temat bitwy, których źródło jest tak jasne, a cel tak przejrzysty, że nie warto po raz któryś z rzędu nazywać po imieniu czynników, które za tą rzekomą opinią żołnierza stoją.

Tenże sam „Tydzień" w n-rze 7 drukuje „sensacyjne informacje" anonimowego „oficera b. 2. Korpusu". Dowiedzieć się z nich możemy, że plan alianci, w celu otwarcia drogi na Rzym, nie przewidywał wcale zdobycia góry klasztornej, że plan uderzenia wprost na Monte Cassino był pomysłem gen. Andersa — jakby nie było przedtem nie udanych prób Francuzów czy najwitalniejszych: Gurków. A dalej, że w drugim dniu bitwy „oficjalna liczba zabitych wynosiła już ponad 5 tys. („Spis poległych pod Monte Cassino" obejmuje 1.051 nazwisk — przyp. red. „O.B."). Liczba rannych dwakroć tyle". Ów anonimowy „uczestnik bitwy" jest doskonale zorientowany, o czym mówiono na odprawach sztabowych, ale w opisie przebiegu bitwy operuje tylko takimi rzeczywiście „sensacyjnymi informacjami", jak: „trup padał gęsto" czy „zagrały armaty". Dla zorientowania czytelnika przytoczmy dłuższy ustęp artykułu:

„Z oficerów został tylko jeden kpt. Leśkiewicz. (por. wzmianki o kpt. Leśkiewiczu w II tomie „Bitwy o Monte Cassino" Melchiora Wańkowicza — przyp. red. „O.B."). Rozejrzał się po leżących żołnierzach, rozejrzał się po ich bezbarwnych twarzach, bladych oczach, w których malowała się cała małość upadłego ducha i ogarnęła go rozpacz...

„I w tej rozpaczy, chcąc bodaj na chwilę poderwać moralnie żołnierza, w pełnym nadziei oczekiwaniu na posiłki lub na amunicję, zaintonował z pełnej piersi:

„— Jeszcze Polska nie zginęła...

„Podchwycił skoczną (siel) melodię pierwszy, drugi i następni i za chwilę hymn polski rozlegał się na stoku, na przedpolu bunkrów niemieckich, w trzasku automatów i w huku rozrywających się pocisków...

„Podniecony hymnem żołnierz ruszył przed siebie jak huragan, niepomny na nic, i bez odpoczynku, w kilku skokach, znalazł się przed pierwszym bunkrem niemieckim i ze zdziwieniem patrzył, jak Niemcy wychodzili z niego chyłkiem jeden za drugim i poddawali się, podnosząc ręce do góry".

Wszystko przepisowo, jak wymaga czytanka dla grzecznych dzieci: i „Jeszcze Polska" i skoczna melodia i potulni Niemcy, bez mrugnięcia poddający się naszym zdziwionym Jasiom. Ani słowa o trudzie bitewnym żołnierza, o którym powściągliwy Anglik, gen. Leese, mówił:

„Oddaję honory polskiemu sztandarowi, powiewającemu dumnie z klasztoru - fortecy. Pewny jestem, że ten pamiętny czyn przejdzie do historii jako wspaniałe osiągnięcie oręża polskiego, a w naszej historii wojskowej na pewno zaliczony będzie do wybitnych sukcesów VIII armii. Dzielność polskich oddziałów w tych zażartych walkach oraz sposób, w jaki wytrzymywały one ogień moździerzy i artylerii, a także uporczywe przeciwnatarcia były dla mnie rewelacją. Równie wspaniały był duch, jaki wykazywali oni w natarciu..."

Wspomniany na początku artykuł K.Z. Skierskiego stanowi rzeczową odpowiedź na rewelacje „oficera b. 2. Korpusu". Autor latem ub. roku był we Włoszech, gdzie oglądał teren bitwy i z ogłoszonych dotąd materiałów badał jej przebieg i znaczenie strategiczne.

„Ponieważ według pierwotnych obliczeń — brzmią słowa Skierskiego — zarówno desant, jak i przełamanie wschodniego frontu miało się dokonać jesienią 1944 roku, obecność wojsk alianckich nad Padem, przewidywana właśnie na jesień, była sprawą zasadniczą. Niepozorny, zdawałoby się, punkt w najwęższym miejscu półwyspu stał się nagle problemem — potężna machina sprzymierzonych ugrzęzła przy wejściu w 10-kilometrową dolinę rzeki Liri. W profilu Wysokich Apenin, niewielki cypel wysokości 519 m z bogobojnym klasztorem św. Benedykta, stał się nagle centralnym punktem walk włoskich. Od zdobycia klasztoru i wzgórz przylegających zaczyna raptem zależeć nie tylko zdobycie dwóch trzecich Italii, ale i zgranie działań sprzymierzonych na obu frontach".

Posługując się cyframi autor słusznie ocenia, że była to „najtrudniejsza, najkrwawsza i „najtańsza" bitwa apenińska". Mówiąc o wartości moralnej żołnierza Skierski nie waha się sięgać po słowa najwyższe:

„Pod względem wartości moralnych żołnierza polskiego, bitwa o Monte Cassino jest czymś bezprzykładnym, jest zarazem starszą siostrą Powstania Warszawskiego. To była święta wojna, uniesienie. Najszlachetniejsze odruchy i fakty poświęcenia, przyjaźni, ludzkich uczuć i dobroci, wreszcie ofiary, okupywane zazwyczaj śmiercią, znajdziemy tutaj na tych wzgórzach. Gdyby kronikarz jakiś chciał zebrać najprostsze zeznania najprostszych ludzi i stworzyć z tego jedną małą książeczkę, dokument ten okupiłby wszystkie nasze błędy i pokazał istotne, najszlachetniejsze cechy narodu polskiego. Możemy być naprawdę bardzo dumni z tej bitwy i z uwagi na jej znaczenie europejskie w ogólnej rozgrywce z Niemcami i dlatego, że nam pozwoliła samym sobie samych siebie ukazać".

Gdy zestawimy te słowa z kalumniatorskim stylem owego anonimowego „oficera", widzimy, że prawda o Monte Cassino mimo wszystkich przeszkód toruje sobie drogę do opinii Kraju. Pewne momenty toczącej się dyskusji są nad wyraz bolesne. Jeden z najwspanialszych czynów żołnierza polskiego znalazł w niej nie swoich epików, ale karłów, którzy służąc cudzym interesom starają się w oczach własnego narodu zohydzić każdy przejaw jego wielkości budzący szacunek u obcych.

A. W.

Najmłodszy polski uniwersytet

NAPRAWDĘ!

W starym Wrocławiu ubodzy żaczkowie z własnymi garnuszkami chodzili na obiad do bogatych mieszczan. Dzisiejsi studenci korzystają z kilku aż stołówek Bratniej Pomocy i jednej Caritasu. Czasy się rzeczywiście zmieniły. Już nie z garnuszkiem, tylko z samą łyżką w ręku chodzą współcześni żakowie na obiad: oto wymienione stołówki nie posiadają nakryć.

Aby się uczyć, trzeba nie tylko coś jeść, ale i gdzieś mieszkać, co w mieście tak zniszczonym jak Wrocław (zniszczenia wojenne wynoszą 64%) stanowi problem b. poważny. Otworzono więc bursę.

Uniwersytet Wrocławski liczy w bież. roku akademickim 7 tys. studentów. W bursie znalazło pomieszczenie 94 (dziewięćdziesięciu czterech). W dodatku, jeśli o mieszkańców bursy chodzi, rzeczywiście można się tej cyfry dołączyć. Gorzej jest już z łóżkami, naczyniami stołowymi itd. Rodzaj posiłków w bursie charakteryzuje popularna wśród młodzieży akademickiej piosenka:

„Kasza i kasza i kasza i kasza
Dzisiaj i jutro, pojutrze i wciąż."

MADE IN GERMANY

Sześcioletnia wyrwa w studiach wyższych spowodowała żywiołowy pęd do nauki. Wszyscy chcą odrobić stracony czas. Słuchaczami Uniwersytetu Wrocławskiego są kupcy i rzemieślnicy, urzędnicy i szoferzy. Wobec niedostatecznej pomocy władz administracyjnych, które są dzisiaj jedynymi dysponentami funduszów publicznych, studenci muszą się liczyć wszelkiej pracy zarobkowej.

Popularnym wśród wrocławskich studentów sposobem zarobkowania jest zbieranie szmat wśród gruzów. „Dostałem nawet kartę zbieracza szmat z gruzów" — chwali się jeden ze studentów na łamach miejscowego pisma. Jakże to przypomina niemieckie patenty „Sammlern der Rohrprodukte", dzięki którym przez jakiś czas utrzymała się także pewna liczba Żydów. Taka kartka uprawniała posiadacza do specjalnej wywieszki na drzwiach mieszkania, chroniącej — przynajmniej w teorii — przed niespodziewanymi nalotami policji. Czy obecnie podobna karta zapewnia, oprócz możliwości zarobkowania, także bezpieczeństwo osobiste młodzieży, narażonej na coraz to nowe zamachy władz administracyjnych na jej wolność?

Studenci polscy śpią w sali wykładowej

ZADANIA, POTRZEBY I NADZIEJE

Czy w tych warunkach naddująca młodzież zdoła rzeczywiście odrobić „stracony czas"? W szczególności, że warunki w jakich pracuje uczelnia, bynajmniej nie ułatwiają nauki. Katastrofalnemu brakowi podręczników zaradzić miała przyzielona Uniwersytetowi drukarnia. Niestety na zarządzenie władz administracyjnych urządzenie drukarni zostało z Wrocławia wywiezione. Toteż — jak stwierdził prof. Jerzy Kowalski na uroczystej inauguracji uczelni — coraz bardziej powiększa się rozdźwięk „między zaszczytnymi zadaniami, jakimi Państwo nas obarcza, a najistotniejszymi potrzebami naszymi".

Uniwersytet Wrocławski stanowi — wyrażając się modnym dziś językiem — „rekompensatę" za Uniwersytet Lwowski. Słuchacze rekrutują się nie tylko ze Śląska, ale i ze wschodnich ziem Rzeczypospolitej. „Stąd — jak stwierdza wrocławskie „Słowo Polskie" (nr 39) — porozumienie się trudniejsze, stąd w krótkim czasie nie podobna było wytworzyć wrocławskiego monolitu akademickiego". Skąd? — pytamy nie wierząc własnym oczom. Nigdy w Polsce pochodzenie z tej czy innej dzielnicy kraju nie powodowało najmniejszych nawet różnic wśród studiującej młodzieży. Czyżby dziś „Polacy zza Buga" byli innymi ludźmi?

Oto jeszcze jeden przykład sztucznego wywoływania antagonizmów, by podzielone społeczeństwo łatwiej było potem „jednoczyć" według wypróbowanych już wzorów. Toteż nadzieja wspomnianego dziennika, że „zespoli się brać akademicka na pewno" — brzmi po prostu jak groźba.

Z. N.

„D U X"
najlepszy kieszonkowy słownik pol.-ang. i ang.-pol.
z wymową
CENA 10/6 Żądajcie wszędzie
SKŁADNICA KSIĘGARSKA
8 Hope Street — Edinburgh — Tel.: 32552

PRENUMERATA z przesyłką pocztową:
W. BRYTANII szylingów: miesięcznie 2/6, kwartalnie 7/, rocznie 25/. Należności za prenumeratę nadesłane czekiem, Postal Order lub Money Orderem przyjmuje przedstawicielstwo „Orła Białego" Gryf Publications LTD., 59/61 Hatton Garden, London E. C. 1 Tam też należy kierować poszukiwania osób i nekrologi.
W BELGII franków belg.: miesięcznie 20, kwartalnie 60. Należności za prenumeratę wpłacać na rachunek pocztowy Solange Philippe C. C. P. . . 785.066, podając na blankiecie tytuł zamówionego pisma i dokładny swój adres
WE FRANCJI franków fr.: miesięcznie 40, kwartalnie 120, rocznie 480, Zamówienia oraz należność przyjmuje red. TADEUSZ KOPEĆ 80 Bd. de Charonne — PARIS XX, nr. konta pocztowego Paris ce 571302 lub STE „LIBELLA" Librairie — 12, rue St. Louis en l'Ile — PARIS IV, nr. konta pocztowego Paris ce 565150.
W SZWAJCARII franków szw.: miesięcznie 1,50, kwartalnie 4,3o. Należność za prenumeratę wpłacać białym czekiem pocztowym (mandat de poste interne) pod adresem: Fribourg 2, Case postale 36.
WE WŁOSZECH lir: miesięcznie 120, kwartalnie 360, rocznie 1440. Prenumeratę przyjmuje Casa Editrice „Lettere", ROMA, Casella postale 424. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym. **W SZWECJI koron:** miesięcznie 2,50, kwartalnie 7, rocznie 28. Pr